

MICHAŁ WÓJCIK

ON

MROCZNA, NIEPOKOJĄCA I ZASKAKUJĄCA POWIEŚĆ

SŁUGA PIASKU
TOM I



An hourglass is centered in the image, with a stream of fine, greyish dust falling from the top bulb into the bottom bulb. The dust is illuminated, creating a soft glow. The background is a deep black space filled with numerous small, white stars of varying brightness. The overall mood is mysterious and cosmic.

MICHAŁ WÓJCIK

ON

MROCZNA, NIEPOKOJĄCA I ZASKAKUJĄCA POWIEŚĆ

SŁUGA PIASKU
TOM I

Cykl Sługa Piasku
On – Tom 1

Copyright © by Michał Wójcik, Wrocław 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Redakcja i korekta: Anna Dzięgielewska

Projekt okładki: Night Trip – @night_trip_art

Skład i łamanie: Krzysztof Biliński

Wydanie I
Wrocław 2021

Sprzedaż internetowa:
michalwojcikautor.pl
Oprawa miękka: ISBN 978-83-962964-0-5
E-book: ISBN 978-83-962964-1-2

Druk:

druk-24h.com.pl
DRUKARNIA CYFROWA
15-523 Białystok, Grabówka
ul. Szosa Baranowicka 77
tel. 85 653-78-04
e-mail: biuro@partnerpoligrafia.pl

SPIIS TREŚCI

WSTĘP	9
TUNG	11
POZNAĆ PRAWDĘ	59
COŚ SIĘ KOŃCZY, A COŚ ZACZYNA	89
WITAMY W KOLONII	129
DRAGON	147
DECYZJA RADY	179
WAROWNIA	199
PROPOZYCJA	233
ONA TU RZĄDZI	263
W NOWEJ SŁUŻBIE	297
INNA DROGA	327
TRUDNA PRAWDA	363
CZAS ROZLICZEŃ	401
EPILOG	427
OD AUTORA	431

*Ku pamięci Joanny i Ryszarda Repskich,
wspaniałych ludzi, przyjaciół i dziadków.
Dziękuję za każdy wspólnie spędzony dzień.*



WSTĘP

Mówią, że potworem się nie rodzisz, lecz nim się stajesz. Jedni zatracają się w swej pracy, innych pcha do tego towarzystwo, kobieta, bądź też ból. Psychiczny jest gorszy od tego fizycznego, nie widać go na pierwszy rzut oka a mrok, który nosi się w sercu, może w pewnym momencie przygnieść niosącego swym ciężarem. Wszystkie nieszczęścia, które spotykają naszych bliskich, odbijają się na nas i zostawiają ślad. Nie jesteśmy w stanie zapomnieć o nim, nawet po latach. Tak było też ze mną. Wszyscy, których kochałem lub darzyłem przyjaźnią, zginęli na moich oczach. Bądź ich zguba była ze mną w jakiś sposób powiązana. Dlatego doszedłem do wniosku, że nie jest to moją winą a świata, który mnie otacza. Istot, które go zamieszkują. Dlatego karmię się teraz ich bólem i wszystkim pozwałam go poczuć tak samo, jak ja go czuję...



TUNG

Nie! To tylko zły sen. – westchnął chłopak siedzący na łóżku. Choć trudno było to nazwać łóżkiem. Był to po prostu duży, w miarę płaski kamień, który został pokryty starą, poszarzałą skórą owcy. Jako kołdra służyło prześcieradło nadgryzione zębem czasu: z wieloma dziurami i licznymi przetarciami.

Gdzie Timi? Pewnie znów skopałem go w nocy i biedak położył się gdzieś na podłodze. Faktycznie leży obok, skulony jak niewielkich rozmiarów pies – rozmyślał. Chłopak wsunął delikatnie lewą rękę pod jego głowę, prawą zaś pod jego nogi. Położył zmarznięte dziecko do łóżka i delikatnie okrył prześcieradłem. Gdy odchodził od chłopca, starał się być jak najciszej, lecz nie zauważył garnka po wczorajszej kolacji. Kopnął go, robiąc przy tym niemały harmider. Odwracając się, był pewien, że dzieciak już zerwał się na równe nogi. Na szczęście tylko przewrócił się na drugi bok, twarzą do niego.

W półmroku dojrzał jasne blond włosy opadające na czoło młokosa. Zastygł w bezruchu, bo nie miał pewności, czy aby na pewno dalej śpi.

Jak ja bym chciał cię stąd zabrać – pomyślał. Niczym sobie nie zasłużyłeś na takie dzieciństwo, a także na takie warunki życia. Obiecuję ci, braciszku, że pewnego pięknego dnia zabiorę cię na piękną zieloną planetę, daleko od tego miejsca.

– Czas zrobić śniadanie – stwierdził. Robiąc posiłek, rozmyślał nad swoją obietnicą. Wziął garść gałązek zebranych parę dni wcześniej.

– Jeszcze się nadają, nie są pierwszej świeżości, ale są. Będę musiał wybrać się poza osadę, by jakieś pozbierać, bo nam resztki zostały – mówiąc tak do siebie, ułożył niewielki stos. Ustawił niedużych rozmiarów ruszt, na którym był zawieszony garnuszek z wodą. Rozpalił pod nim ogień i dodawał kolejne składniki.

– Ryż, sól, trochę ammorosu i... trochę koncentratu z jabłek. – Gdy tak mówił do siebie, usłyszał w oddali cieniutki głos chłopca.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, mój mały druhu – powiedział, gdy ujrzał Timiego stojącego kilka metrów za nim. Szczupłego chłopca z wypiekami na policzkach, o blond włosach, które opadały mu na oczy. Wzrok miał jeszcze zamglony od snu, ale przecierając oczy ze śpiochów, już wyciągał szyję, by powąchać, co tam bulgocze w garnuszku.

– Co dziś na śniadanie?

– A jak myślisz? – odpowiedział mu Brego z uśmiechem.

– Hmm... pewnie robisz mi wspaniałą jajecznicę na boczku z lekko zarumienioną cebulką. A do picia będzie świeżo wyciśnięty sok z taterańskich malin.

– Przykro mi, ale nie. Jest tylko ryż z ziołami i koncentratem jabłkowym a do picia woda.

– Ale zrobisz mi kiedyś taką, prawda? – zapytał, robiąc tę swoją smutną minę.

Chłopiec zauważył, jak powoli ręka Brego się unosi. Miał nadzieję, że zostanie położona na jego głowie i otrzyma obietnicę o spełnieniu jego prośby dotyczącej potrawy. Powoli zbliżył się, a szorstka ręka brata potarła jego policzki. Ich wzrok spotkał się i młodszy z braci dojrzał w oczach chłopaka płomień; żar, który tak go fascynował. Niestety mina na twarzy jego starszego brata mówiła zupełnie coś innego.

Widać było na niej smutek z powodu braku możliwości spełnienia tak błahej prośby kochanej przez niego osoby. Ktoś, kto nie znał Brego, na pewno by tego nie dostrzegł, ale przecież to był jego brat.

Timi chciał dowiedzieć się, czy sprawia mu to aż taką przykrość. Jednak Brego nagle odwrócił się w stronę paleniska i zamyślnym wzrokiem wpatrywał się w ogień.

– Nad czym tak myślisz, bracie? – zapytał nieśmiało chłopiec.

– Nad niczym – odpowiedział beznamiętnym głosem. – Zresztą nieważne, siadaj gdzieś, bo podaję jedzenie.

Timi usiadł tradycyjnie na łóżku, z miseczką w dłoniach. Czeakał na jedzenie, machając przy tym stópkami w powietrzu. Brego podszedł z garnkiem i zaczął nakładać potrawę. Jedna łyżka, druga, trzecia... doliczył do dwunastej, wtedy chłopiec zabrał się do jedzenia. Starszy z braci wziął sobie garnek z tym, co zostało i usiadł pod oknem.

Opierając się o ścianę, też oddał się uczcie. Gdy jadł, rozglądał się po swoim miejscu zamieszkania, które nie było cudem architektonicznym w środku, a tym bardziej na zewnątrz. Miało kształt igloo, ale tak naprawdę była to zwykła, szara lepianka. W środku oprócz łóżka znajdowała się mała spiżarnia, która była częściej pusta niż pełna. Wykonana była z przybitych do ściany zwykłych, prostych desek. Pomiędzy łóżkiem a spiżarnią zawsze stała miska z wodą. Pełniła funkcję umywalki do mycia naczyń oraz do kąpieli. Po drugiej stronie znajdowała się stara mosiężna skrzynia, zamykana na klucz. W środku był ekwipunek Brego do pracy, którą wykonywał, by utrzymać siebie i brata.

– Aaacchhh... skończyłem! – krzyknął z radością Timi.

– Gdzie ty to wszystko mieścisz? – zastanawiał się Brego.

– Jak to gdzie? W brzuchu. Nie wiesz o tym? Musisz zapytać Kari, ona wszystkie takie jakies dziwne rzeczy wie. Brego, co dzisiaj robimy?

– My? Ty idziesz do Kari i Anne, a ja muszę pozalać parę spraw.

– To znaczy, będziesz zabijać rakghulle i szczury rzeczne poza osadą?

– Tak, idę na polowanie, żebyśmy mieli co i za co jeść.

– A mogę iść z tobą? Proszę...!

– Nie, jesteś jeszcze za młody. Masz dopiero jedenaście lat i to nie jest zajęcie dla ciebie.

– A ty masz osiemnaście! Więc nie jesteś wcale tak dużo starszy! Zaczynałeś to robić, mając tyle samo lat co ja. Nie chcę ich zabijać, tylko popatrzeć, jak ty to robisz.

– Póki nie zrozumiesz różnicy między bezmyślnym zabijaniem a polowaniem, to nie mamy o czym rozmawiać. Ja musiałem tak szybko zacząć to robić, żebyśmy mieli co do garnka włożyć!

W tej chwili na twarzy Brego pojawił się mrok i złość. Oczy zrobiły mu się ciemne jak smoła, a zuchwa jakby się rozszerzyła. Pewnie od zaciskania zębów. Timi poczuł się malutki przy bracie i bardzo słaby. Wiedział, że miewa on napady złości i lepiej mu wtedy nie wchodzić w drogę. Mimo to bardzo go kochał i zdawał sobie także sprawę, jak trudne jest dla niego to, co wykonuje. Potrafi wiele sobie odmówić, byleby jego braciszek miał tyle, ile zdoła mu dać.

Czuł do niego ogromny szacunek. Wiele razy, gdy leżał już w łóżku, na chwilę przed zaśnięciem, bardzo mocno marzył, by być w przyszłości taki jak on. Nie bać się nikogo i niczego, być tak odpowiedzialnym za drugą osobę, którą darzyło się szczerym uczuciem. Być jak Brego.

– Przepraszam – odpowiedział skruszony chłopiec.

– Zbieraj się, wychodzimy. Zaraz... Ktoś tu idzie i to nie jest człowiek.

Skąd on to wie? – zdziwił się chłopiec, patrząc na skupienie malujące się na twarzy brata. *Nie słyszę, żeby ktoś szedł po ulicy. Żadnych rozmów, nawet wiatru. Ma tak wyczulony słuch albo zaczyna mu po prostu odbijać. Lepiej nic nie będę mówić, żeby go nie rozzłościć jeszcze bardziej.*

Nagle usłyszał głos droida stojącego tuż za drzwiami, których funkcję w ich skromnym przybytku pełnił stary, gruby koc.

– Obywatele Brego i Timothee Osman proszeni są o wyjście przed miejsce zamieszkania.

– No tak, poborczy podatkowi. Schowaj się tam w cieniu, może cię nie zauważą. – Brego zwrócił się do młodszego brata.

- Czemu?
- Nie dyskutuj, tylko rób, co mówię!
- No dobrze, idę.

Niech to szlag! Coś czuję, że z nimi nie pójdzie tak łatwo – mówiąc to w myślach, Brego poczuł, jak kropla potu zaczyna mu spływać po czole. Ręce zaczęły mu się pocić, a serce biło w szalonym tempie.

– Obywatele Brego i Timothee Osman proszeni są o wyjście przed dom! – powtórzył nakaz droid.

– Słucham, o co chodzi? – Posłał gościom zimne spojrzenie. Jak zawsze w takich sytuacjach, zaczął w myślach analizować umiejętności potencjalnych przeciwników. *AX-03, trzecia generacja robotów bojowych. Bardzo stara, ale cały czas używana... jak widać. Po przeróbkach przedramienia, wzmocnionego tak, by robot mógł utrzymać ciężki blaster z pełnym magazynkiem. Wzmocniony pancerz na torsie, a także tarcze energetyczne służące bardziej jako straszak, bo są przepalone i tak naprawdę zupełnie bezużyteczne. Blaster przyspawany do przęta dołączonego do pleców?! No tego to się nie spodziewałem. Niech to szlag! Nie myślałem, że akurat nas dziś odwiedzą. Co gorsza, zaraz będą wiedzieć, że chłopak jest w środku. Trudno, jak rozmowa dyplomatyczna nie pójdzie za dobrze, to zostanie jeszcze plan B.*

W tym momencie na twarzy Brego pojawił się uśmiech osoby bardzo pewnej siebie. Z tym że planem był po prostu atak frontalny na dwa droidy naraz.

To mu się bardziej podobało. Powstrzymywała go tylko myśl o Timim, nie chciał, by widział, jak walczy. Mogło to źle wpłynąć na niego. Przecież nie był zwykłym zbójem, który rzuca się z pięściami na wszystkich, jak leci. Co gorsza, mógł się przestraszyć albo wręcz przeciwnie – spodobałoby mu się i wtedy na pewno nie dałby mu żyć, jeśli go nie zabrał na wypad poza osadę.

– Rozpocynam skanowanie – przemówił robot kobiecym głosem. Czerwony laser przeszedł po ciele Brego, od góry do dołu. – Skanowanie zakończone.

– Witaj, Brego Osman – zwrócił się nagle ten drugi. *Pewnie muszą mieć wspólną bazę danych* – pomyślał chłopak. – Jestem AX-03, wersja

X001. Przybywam do ciebie z firmy International Brown Corporation, w sprawie zaległego czynszu. Mowa o nieruchomości postawionej na poziomie trzecim, sektor Y-33, dom numer 117. Twoje obecne zadłużenie wynosi pięćdziesiąt dziewięć kredytów Republiki. Jesteś proszony o natychmiastowe uregulowanie zaległości albo będę musiał rozpocząć wdrażanie wyroku sądu planety Tung zatwierdzonego przez sędziego Alana McFlecha, wydanego dzisiaj o godzinie szóstej dwadzieścia cztery. Bądź eksmitować panów z domu i terenów osady.

I.B.C. Zakłamanie, cholerne, świnie – powiedział w myślach. *Ciągną od ludzi kredyty, by sami mogli leżeć brzuchami do góry. Splunął droidowi pod nogi.* – Nie mam i nie będę mieć tych pieniędzy – warknął.

– W takim razie wyrokiem sądu planety Tung, zatwierdzonego przez sędziego Alana McFlecha, karą jest odpracowanie przez obywatela Timothee Osman zadłużenia w kopalni rudy. W terminie dwóch tygodni roboczych, zaczynając od jutra. Proszę o przygotowanie do przeniesienia pana Osmana do kwater górników tymczasowych. Proszę o niestawianie oporu, mamy pozwolenie na użycie siły.

W tym czasie, gdy odczytywał werdykt, broń jego i towarzysza została wycelowana w Brego. Dobrze wiedział, że nie żartują i był już pewien, że musi wykonać plan „B”.

– Chyba sobie żartujesz! Spróbuj wejść i samemu go zabrać! – Znowu poczuł tę złość. Oczy mu poczerniały, a ciało miał całe napięte. Był gotów do ataku przy użyciu całej siły, jaką posiadał. – Mam nadzieję, że twój właściciel ma na ciebie wykupione ubezpieczenie. Bo zaraz dostarczę cię do niego w częściach!

– Dobrze, akceptuję wyrok. – Nagle tuż obok stanął Timi, zapłakany, pociągający nosem. – Pójdę z wami do tej kopalni, ale nie róbcie mojemu bratu krzywdy. – Brego nie wiedział, co powiedzieć. Stał jak wryty i patrzył na młodszego brata z niedowierzaniem i podziwem. – Przepraszam, Brego, nie zawsze będziesz musiał się dla mnie poświęcać. Ja też muszę wziąć trochę brzemienia tego naszego świata na siebie. To idziemy, puszkowcy, czy nie?!

– Timi? Nie musisz tego robić! – Brego starał się ratować w jakikolwiek sposób sytuację. Cała złość, która jeszcze minutę temu władała jego ciałem, zniknęła. Mięśnie rozluźniły się, a oczy wróciły do swojej normalnej niebieskiej barwy. – Dlaczego chcesz to zrobić, mały? Wiesz, że będą cię tam źle traktować. Może stać ci się krzywda.

– Wiem, słyszałem od wujka Letoya różne opowieści o tym, jak tam traktują pracowników tymczasowych. Ja chcę po prostu ci pomóc, poza tym nie możesz się tu bić. Wszyscy będą to widzieć i mogą to wykorzystać przeciwko tobie.

– Jak to? Przecież tu nikogo...

– Nad nami jest robot patrolujący i wszystko nagrywa.

– Źe co?! Niby gdzie?!

Brego zaczął się rozglądać energicznie. Faktycznie, po jego prawej stronie, jakieś pięć metrów nad ziemią, była mała, okrągła piłka z antenką. Wiadomo było po co. Ostatnich dwóch poborców podatkowych pogonił, a jednemu dał nawet w twarz. Niestety, żadnych świadków nie było, więc kary również nie. Teraz było inaczej. Zdał sobie sprawę, że gdyby zaatakował droidy, mieliby z Timim poważne problemy. Nawet mógłby wyładować na Ziemi, w kolonii karnej. Nagle poczuł mocne uderzenie w prawy policzek, cios był na tyle silny, że odrzuciło go na parę dobrych metrów. Droid, który do tej pory jedynie do niego mierzył z broni i stanowił ochronę mówiącego poborcy, zaatakował, gdy Brego kompletnie się tego nie spodziewał. Wpadając z impetem do domu, zerwał koc służący za drzwi frontowe. Po drodze strącił jeszcze miskę z wodą i zatrzymał się dopiero pod ścianą po przeciwnej stronie. Timi oniemiał i pobladł z przerażenia. Ta sytuacja go zaskoczyła i nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Robot, który rozmawiał ze starszym z braci, nie czekając zbyt długo, złapał chłopca za włosy. Zaczął ciągnąć go za sobą, oddalając się od miejsca zamieszkania Osmanów. Timi starał się wyrwać, płacząc przy tym i krzycząc z bólu. Pozbawiony uczuć droid nie zareagował i nie zwrócił na jego zachowanie uwagi.

Brego, leżąc pod zerwanym z wejścia kocem, czuł straszny ból po prawej stronie twarzy. Możliwe, że cios droida uszkodził mu kość

jarzmową, a w najgorszym wypadku ją złamał. Mimo doskwierającego bólu i chwilowego przytępienia zmysłów pozbierał się z ziemi i lekko oszołomiony podbiegł do skrzyni. Otworzył ją i zabrał ekwipunek potrzebny do ratowania brata: pistolet blasterowy oraz miecz w pochwie, który przewiązał sznurem przez prawe ramię tak, by nie krępował mu ruchów.

Pas z torebką na shurikeny i noże kunai obwiązał wokół bioder. Był gotowy na starcie z blaszakami. Wybiegł przed dom i zaczął lokalizować po okrzykach brata, gdzie się znajdują.

– Mam ich! – krzyknął, od razu ruszając w pościg.

Zauważył tylko jeden słaby punkt droidów, pod korpusem po prawej stronie, gdzie ludzie mają wątrobę. Umiejscowiony jest tam kompletnie odkryty procesor zasilający. Jakby udało mu się trafić kunai, to pewnie obwody zaczęłyby mu wariować. Nie wiedział jeszcze, jak się zabrać za drugiego; coś wymyśli w trakcie potyczki.

Analizując sytuację, skręcił w pierwszą ulicę w prawo. Zauważył ich, byli jakieś trzysta metrów przed nim. Wyciągnął już kunai i czekał, aż zbliżą się, na odpowiednią odległość. Gdy uznał, że są już wystarczająco blisko, rzucił bronią z całej siły w robota trzymającego Timiego za włosy. Kunai przebił lekki pancerz na plecach – ktoś, kto modyfikował droida, zakładał, że robot zawsze będzie walczył przodem do przeciwnika i to miejsce było słabiej zabezpieczone przed atakiem.

Nóż był wycelowany perfekcyjnie, trafił w samo ogniwo procesora. Robot stanął w miejscu, puścił chłopaka i zaczął machać rękoma, jakby się palił. Przy tym energia zgromadzona w urządzeniu wydostała się na zewnątrz. Wokół blaszaka powstały elektryczne kręgi. Chłopiec, który przed chwilą szarpał się z całej siły, upadł bezwładnie na ziemię. Spoglądając w lewo, zauważył brata nadbiegającego w kierunku drugiego przeciwnika. Robot bardzo niecelnie strzelał, tak jakby jego celownik był rozregulowany. Mieli szczęście, że firma oszczędzała na wyposażeniu droidów. Brego nie musiał specjalnie się starać, żeby uniknąć trafienia. Gdy znalazł się metr od swojego celu, wyskoczył na tyle wysoko, by móc w powietrzu

wyciągnąć swój miecz. Wylądował tuż za plecami wroga i jednym szybkim, mocnym cięciem z półobrotu pozbawił blaszaka głowy. Droid, tracąc zasilanie, wyłączył się automatycznie, a młodszy z braci odczuł wielką ulgę.

– Ufff... uratowany – powiedział do siebie pod nosem.

Brego stał nieruchomo, spoglądając przez lewe ramię na robota patrolującego. Chciał poprzez swoją minę i postawę przekazać osobie po drugiej stronie obiektywu złość, którą czuł w każdym skrawku swego ciała. Szperacz, bo tak nazywano te droidy, cały czas trzymał bezpieczny dla niego dystans. W razie ewentualnego ataku miał więcej czasu na unik.

– Niech was szlag! – wykrzyknął w stronę robota, rzucając kunai.

Jednak chybił. Droid zrobił unik, zapiszczał, zabrzączał i odleciał w stronę góry. Znajdowały się tam dwa pozostałe poziomy mieszkalne. Po chwili stania nieruchomo i wypatrywania robota, który mógł w każdej chwili wrócić, podszedł wolnym krokiem do blaszaka, który wcześniej ciągnął Timiego za włosy, wyciągając swój blaster z kabury. Robot w dalszym ciągu wymachiwał rękoma, wykrzykując jakieś słowa w innym, nieznanym mu dialekcie.

– Pieprzona kupo złomu! – Strzelił mu prosto między oczy.

Tak samo, jak poprzedni droid przy braku zasilania, i ten automatycznie się wyłączył. Wszystkiemu bacznie przyglądał się Timi. Nie mógł wyjść z podziwu po tym, co zobaczył. Znów poczuł się bezpiecznie. Był dumny z tego, że ma takiego brata.

– Timi, pomóż mi zaciągnąć te dwa roboty na ścigacz. Zabierzemy je do domu.

– A co z nimi zrobimy?

– Oddamy właścicielowi.

I tak jak powiedział, tak zrobili. Bardzo się przy tym męcząc. Blaszaki w końcu swoje ważyły. Gdy uporali się z żelastwem, włożyli je na ścigacz, który wyglądał jak mały poduszkiwiec. Miejsca w nim było akurat na dwie osoby, z małym kuferkiem z tyłu na ekwipunek. Jednym słowem był to latający prostokąt z zaokrąglonymi rogami

dla lepszej aerodynamiki. Z tyłu, między dwoma niewielkimi silnikami, było miejsce na niewielkich rozmiarów działko. W pełni wyposażonej wersji służyło ono do obrony przed niewielkimi, dzikimi stworzeniami:

- Jedziemy do Kari, Anne i wujka? – zapytał Timothee.
- Tak, złożymy im wizytę, a coś się stało?
- Nie, ale Kari ostatnio o ciebie wypytywała.
- Taaa? O co niby pytała? – Brego trochę niedowierzał.
- Nic konkretnego, „Co u ciebie słychać?“, „Jak polowania?“

I takie tam pierdoły.

– Aha, rozumiem. No dobra, młody, pakuj się, jedziemy, bo nigdy tam nie dotrzemy.

Wsiedli do ścigacza i pojechali w stronę góry. Musieli przejechać przez całe dolne miasto, czyli dolny poziom mieszkalny, jak też go niektórzy nazywali. Na tym poziomie mieszkali głównie robotnicy kopalni rudy. Biedni i często pracujący na dwie zmiany ludzie. Zostali poniekąd zmuszeni do tak ciężkiej pracy, by związać koniec z końcem. Domki były tak samo szare, jak cała ta cholerna planeta. Nie było tutaj zielonych drzew ani traw, ani niczego, co mogłoby cieszyć oko swoim naturalnym pięknem. Ludzie żyjący tutaj stali się tacy sami jak ten klimat. Obojętni, znużeni, ciągle rozgoroczeni swym losem i brakiem naturalnego słońca. Z czasem każdy mieszkaniec zaczynał wyglądać jak chodząca śmierć. Byli bladzi, mieli podkrążone z niewyspania oczy. Często wychudzeni z powodu głodu i niedoboru tak ważnych dla ludzkiego organizmu witamin.

W ciemnych, okiennych otworach nie było widać nikogo. Jedynie przy zaciąganiu się papierosem, postać paląca go, ujawniała się na parę sekund. Jak można tak żyć? Jak długo można tak żyć? Ludzi praktycznie nie było na ulicy. Ani bezdomnych, ani przechodniów, jakby cała dzielnica wymarła. Jak już kogoś się spotkało, był odziany tak jak każdy inny na Tung w dolnym mieście. Koszula z długimi rękawami, brudna od kurzu i smaru. Pewnie dlatego, że wielu posiada tylko jedną w swojej garderobie. Spodnie szmaciane

z licznymi dziurami i przetarciami, a także buty, które dni nowości miały dawno za sobą. Twarze tych ludzi nie pokazywały żadnych uczuć. Nawet wzrok mieli nieobecny, każdy dbał tylko o siebie. Smutna, ludzka rzeczywistość. Jechali tak dłuższy czas, skręcając raz w lewo, raz w prawo. Brego i Timi spędzali podróż bez słowa, tak jakby żaden z nich nie wiedział, jak zacząć rozmowę. W końcu Brego się odważył i zapytał zatroskanym głosem:

– Mały, jak się czujesz?

– Dobrze. Prócz paru włosów wyrwanych z głowy żadnych więcej uszkodzeń, nie mam – odpowiedział chłopiec w swoim stylu, z uśmiechem od ucha do ucha i takim tonem, jakby właśnie dostał długo oczekiwane słodycze.

– To dobrze, bo się bałem.

– Przecież mam ciebie!

– Ha, ha...

– Nie widziałem po tobie strachu, jak biegłeś w stronę tych puszek. Nauczysz mnie tak skakać?

– Jasne, że nauczę, ale jak przyjdzie odpowiednia pora.

– Tak, tak, wiem, jak dorosnę – kończąc to zdanie, Timi założył ręce na klatce piersiowej.

Minę zrobił nadąsanego chłopca, któremu tata nie pozwolił na figle. Brego uśmiechnął się tylko. Uświadomił sobie, że nie może dłużej robić z brata małego chłopca. Miał wobec niego plan, który już niedługo zamierzał mu wyjawić. W końcu po jakiejś godzinie dojechali na miejsce, do domu wujka Letoya i jego dwóch córek, Kari i Anne. Starsza, Kari, była o rok młodsza od Brego, więc miała siedemnaście lat. Natomiast Anne była o dwa lata starsza od Timiego, czyli miała trzynaście lat. Obie były bardzo podobne z wyglądu, lecz z charakteru tak różne, jak dwa przeciwstawne bieguny. Młodsza zawsze narwana, wszystko robiła szybko, często niedokładnie i od razu. Kari była za to troskliwa i opiekuńcza, spokojna i zawsze kalkulowała, co lepiej zrobić.

– Kari! Kari?! – Dobiegł do ich uszu krzyk dorosłej osoby ze środka domu.

– Słucham, tato?!
– Gdzie są moje okulary do czytania?!
– Na twoim krzywym nosie!
– Czemu krzywym?! Wiesz, ile razy on był złamany przez tych obślizgłych orków?! Ze sto razy!

– Tak, tato, wiem! Znam tę historię na pamięć.

Kari zawsze wszystko wiedziała: w jakim miejscu ktoś coś położył, gdzie jakaś osoba się znajduje.

Ich dom stał przy głównej ulicy i różnił się trochę od tych, w których mieszkali ludzie z niższego poziomu. Przede wszystkim był większy, ceglany, miał dwa piętra, niewielki taras i drzwi z prawdziwego zdarzenia. Bracia stanęli przed nimi i dwa razy zapukali; po chwili zapukali jeszcze trzykrotnie, w rytmicznych odstępach. Był to ich umówiony sygnał.

– Kari! Ktoś idzie, otwórz! – zawołał wuj ponownie.

– Nie ktoś, tylko Brego i Timi! Więc sam otwórz, bo ja teraz nie mogę, zupełnie gotuję!

– Ehhh... Anne! Anne?! Gdzie jest znowu ta dziewczucha? Niech to! I to ja, jak zwykle, muszę jechać i otworzyć te cholerne drzwi! Już idę, ty rebeliancka gnido!

Chłopcy stali cierpliwie przed drzwiami. Wiedzieli, że wujowi trochę to zajmie, bo jeździł na wózku inwalidzkim. Był uczestnikiem wojny między Republiką a orkami. Na jednej z planet nastąpił na niego, która urwała mu nogi. Jako zwykły szeregowy nie mógł liczyć na wielkie odszkodowanie czy też rentę. Stać go było jedynie na dom na tej planecie. Źle nie miał w porównaniu do ludzi z dolnego miasta. Przede wszystkim nie musiał pracować w kopalni ze względu na swoją niepełnosprawność i dzięki Kari, o której względu zabiegał Mark Brown, właściciel jedyne, dużego zakładu pracy i zarządca albo jak kto woli, prokurent planety Tung.

Drzwi zaczęły się powoli otwierać, oczom chłopów ukazał się starszy człowiek na wózku inwalidzkim. Przykryty był czerwonym kocem ze złotym, haftowanym herbem Republiki. Wuj Letoy miał dużo zmarszczek na twarzy i przenikliwy wzrok, i był radosnym

i zabawnym starszym człowiekiem. Nigdy nie użalał się nad sobą ani nad swoim losem. Zawsze był odziany w schludnie wyglądającą i czystą beżową koszulę. Miał krótko ścięte, siwe włosy – fryzura typowo wojskowa.

– O! Znowu wy! – powiedział lekko załamującym się głosem.

Był bardzo zadowolony z tego, że zobaczył chłopców, ale starał się stwarzać pozory zimnego i ponurego starca, który już z niczego nie umie się cieszyć. Przynajmniej przez jakiś czas, bo później jego maska, którą celowo „nakładał”, zniknęła. Timi od razu rzucił mu się na szyję, mocno ściskając. Jakby dłuższy czas się nie widzieli, a on strasznie się stęsknił.

– No dobra, dobra, już mnie tak nie duś. Chcę pożyć jeszcze trochę. Wchodźcie, nie będziecie tak stać w progu.

– My jednak... – Brego chciał szybko wytłumaczyć ich wizytę, ale zanim skończył, starzec zdążył mu przerwać:

– Chyba nie chcesz odrzucić zaproszenia od starszej osoby? Jakby to wyglądało? Chodź, chodź, Kari robi pyszną zupę, zjesz przed wyprawą.

Chłopakowi nie było po drodze wchodzić do środka. Zawsze, gdy przyjeżdżał oddać w opiekę brata, dostawał miskę pełną jedzenia. Czuł się nieswój wśród domowników, choć wiedział, że są to jedyni ich przyjaciele w tej osadzie, na których może liczyć. Timothee zeskoczył z Letoya i pobiegł do środka, a Brego powolnym, niepewnym krokiem przekroczył próg domu. Na wprost niego był pokazanych rozmiarów pokój, jakby salon, z dużym, okrągłym, kamiennym stołem pośrodku. Do niego przystawione było pięć plastikowych foteli, a na każdym znajdowała się miękka, wygodna poduszka. Na szarych ścianach wisiało parę obrazów przedstawiających las i zielone łąki pełne kwiatów. Nad wejściem do pomieszczenia była namalowana złota litera „R” na czerwonym tle, przedstawiająca herb Republiki. Wuj Letoy powoli dojechał do stołu i zatrzymał się po jego lewej stronie.

– Brego, chyba nie masz zamiaru tak stać pod drzwiami? A jak masz taki zamiar, to chociaż je zamknij, nie będzie hołota patrzeć,

co mam w domu i na stole. – Chłopak posłuchał. Zamknął drzwi, odwracając się, usłyszał delikatny głos zezłoszczonej kobiety.

– Ile ja mam czekać na was z jedzeniem!? – To była Kari.

Niewysoka, o długich blond włosach dziewczyna, która nienawidzi jak ktoś się spóźnia, tym bardziej na jej obiad. Timi stojący tuż obok niej zauważył, jak jego starszy brat w jednej chwili stracił całą pewność siebie. Spuścił wzrok, ręce skrzyżował przed sobą, jakby prosił o jak najmniejszy wymiar kary.

– Przepraszam cię najmocniej, Kari, coś nas zatrzymało – odpowiedział niepewnym głosem.

– I przyczynę twojego spóźnienia masz w tym worku, który trzymasz w dłoni?

– Tak. Chciałbym prosić cię, byś oddała jego zawartość Markowi to jego własność. – Brego pomyślał, że przy spotkaniu z Kari, prawie zapomniał, z jaką sprawą tu zawitał.

– A cóż to?

– To głowa droida! Którą Brego odrąbał, by mnie uratować przed pracą w kopalni – wtrącił z zadowoleniem Timi.

– Ehhh... wy, faceci, tylko dwie rzeczy macie w głowie: seks i odcinanie głów. Dobra, zostaw to przy drzwiach i siadaj, bo zupa zaraz się wygotuje z garnka.

Chłopak, który jeszcze godzinę temu był pełen odwagi i charyzmy, w jednej chwili zmalał do rozmiarów źdźbła trawy. Wystarczyła do tego jedna, niepozorna kobieta, by pokazać mu, że nie wszędzie i nie wszystko można załatwić siłą i orężem. Podnosząc wzrok, zauważył postać w zielonym, kuchennym fartuszku i jasnoróżowym sweterku, która odwraca się w stronę pomieszczenia, gdzie mieściła się kuchnia. Blond włosy zafalowały i zniknęły za futryną po prawej stronie pokoju.

– Ha, ha! – roześmiał się wuj, który był świadkiem zajścia. – Powiem ci, chłopie, z potworami to ty potrafisz się obchodzić. Natomiast z kobietami... w ogóle.

– Twoja córka czasami jest groźniejsza niż niejedna poczwara – odpowiedział Brego, siadając przy drugim końcu stołu.

– Ja wszystko słyszę, panowie! – Dobiegł głos z kuchni.

– Ha, ha, nie martw się, chłopcze. To dobra dziewczyna i nie zrobi ci krzywdy, znacie się praktycznie od kołyski, więc spokojnie. Pokrzyczy, pokrzyczy i w końcu przestanie. – Nagle do stołu podbiegł zziązany Timi, jakby przebiegł kilka kilometrów.

– Wujku, gdzie jest Anne?

– Gdybym to ja wiedział – odpowiedział, drapiąc się po głowie. – Nie mam już siły za nią ganiać. Wszędzie jej pełno, ale nigdy tam, gdzie jest potrzebna. Brego, czy ty wiesz, że te dwa urwisy ostatnio bawiły się w bitwę kosmiczną pod planetą Khreek?

– Nie, nic mi mały nie mówił.

– A to szkoda, bo zrobili sobie ze mnie niszczyciela Republiki! Zdajesz sobie sprawę?! Robiłem za okręt kosmiczny!

– Przepraszam, wuju, za brata, rozmówię się z nim później – odpowiedział Brego stanowczym tonem, spoglądając z lekkim niedowierzaniem na Timiego. Zawstydzony chłopiec spuścił wzrok, jakby szukał czegoś pod stołem.

– Spokojnie, Brego, fajnie było. Lubię się z nimi bawić, oby nie w berka, bo zawsze uciekają na piętro, a tam już nie wjadę. Trochę gorzej było, jak zostałem zestrzelony.

– A to czemu?

– Przewrócili mi wózek! I tak chyba z godzinę leżałem na podłodze! Ha, ha!

– No to faktycznie, pewnie niezbyt wygodnie ci było.

– Obiad! – krzyknęła Kari, przynosząc duży garnek zupy. – Brego, co ci się stało w policzek? Jest cały czerwony!

Brego, chcąc nie chcąc, musiał podnieść głowę i popatrzeć w ogromne, niebieskie oczy dziewczyny. Kari miała pełne policzki z lekkimi rumieńcami, wąskie nieduże usta i nos, który nadawał jej twarzy wyrazistości. Chłopak zanurzył się na dłuższą chwilę we wzroku przyjaciółki. Speszył się nagle i skierował spojrzenie na pustą miskę, którą Kari przed chwilą przed nim postawiła.

– Aaaa... droid mnie uderzył. Zaskoczył mnie, nie spodziewałem się tego i że tak sprawy się potoczą – wyjaśnił chłopak zawiedzionym głosem.

– Pewnie cię boli. Daj, obejrzę to. – Delikatnie dotknęła palcem policzka swojego gościa, a ten wydarł się, jakby ktoś zrzucił mu ciężki kamień na stopę.

– Aaaaałłłaaaa! To boli, kobieto!

– Pewnie, drzyj się głośniej! Niech cała osada wie! Jeszcze pomyślą, że krzywdę ci jakąś tu robię!

– To boli!

– Boli, nie boli, zobaczyć muszę! Dawaj mi tu ten policzek!

– Nie! Ty wiedźmowata małpo!

– Ja?! Małpa?! Czy ja, do cholery, ruda jestem?! Przestań się wiercić, baranie!

– Nie! Zostaw mnie! Ja nie chcę! Pomocy!

– Ja ci dam pomoc! Zapamiętasz ją na parę dni! Małpa, gorsza od potworów?! Ja ci dam! No przestań się wiercić, bo cię za uszy wytargam!

– No dobrze już! – Zrezygnowany Brego w końcu ustąpił.

Po szamotaninie przy stole oddał pole dziewczynie i nadstawił ten nieszczęsny policzek. Ta obejrzała go dokładnie, parę razy bardzo delikatnie dotknęła i wiedziała już, że kość jarzmowa jest pęknięta. Niegroźna kontuzja, ale na pewno bolesna.

– Tato, mamy jeszcze twoją ochronną maskę z czasów wojny, tę co nosiłeś, jak miałeś złamany nos? – Kari odwróciła głowę w stronę ojca i się zdziwiła.

Koło Letoya stały dzieci. Wszyscy byli cali czerwoni jak buraki, jakby coś dusili w sobie. Dziewczyna chciała zadać ponownie pytanie, ale gdy tylko otworzyła usta, cała trojka wybuchnęła śmiechem. Anne, która pojawiła się nie wiadomo skąd, z tego wszystkiego zaczęła turlać się po podłodze. Stary wuj Letoy tak zanosił się śmiechem, że aż łezki zaczęły mu napływać do oczu. Timi schował twarz w dłoniach i śmiał się bez opamiętania. Kari tym bardziej to zezłościło, uważała takie zachowanie za brak szacunku do jej osoby, a tego bardzo nie lubiła. Gdy jej irytacja sięgnęła zenitu, wydarła się na pozostałą trójkę z całą siłą, jaką miała w płucach:

– Gdzie jest ta zakichana maska?! – W jednej chwili wszystkie odgłosy śmiechu ucichły. – O! Już wiem, przecież włożyłam ją do szafki na piętrze. Nałóżcie sobie zupę, ja za chwilę wrócę.

Odwrociła się i poszła w stronę wejścia z herbem, chwilę później zniknęła w mroku pomieszczenia. Anne poczuła się w obowiązku zastąpienia siostry przy stole, więc zaczęła nalewać każdemu zupę. Młodsza córka wuja Letoya była bardzo podobna do siostry, wręcz taka miniaturowa jej wersja. Różniły się jedynie kolorem oczu i włosów. Anne miała ciemne kasztanowe włosy i piwne oczy, Kari blond włosy i niebieskie oczy. Nałożyła wszystkim ciepłe danie, zaczynając od ojca. Później był Brego, Timi, ona i na końcu nalała dla siostry, która poszła szukać maski dla chłopaka. Zupa była pyszna, zresztą jak każdy posiłek przygotowany przez Kari. Wszyscy jedli z wielkim apetytem, nawet nie było potrzeby o czymkolwiek rozmawiać. Timi skończył jedną miskę i nalewał sobie następną i następną, chyba ze cztery łącznie. Brego trochę dziwnie patrzył, gdy brat brał kolejną dokładkę. Jego miska była prawie pełna, ale nikt nie zwracał mu uwagi, każdy przyzwyczał się do jego słabego apetytu. W końcu starsza z córek zeszła na dół. Po drodze do stołu wycierała z kurzu czarną maskę z gumką. Chciała, by wyglądała jak najlepiej, bardzo jej zależało, aby pomóc Brego. Stała tuż przy przyjacielu i spojrzała na niego. Ten, mając w pamięci ostatnią sprzeczkę z dziewczyną, nie ryzykował następnej. Odłożył łyżkę obok miski i wyprostował się, by przyjaciółka nie musiała za bardzo się schylać. Ta założyła mu delikatnie maskę, trochę poprawiła gumkę, by nie uwierała go za bardzo. Poklepała troskliwie Brego po ramieniu i powiedziała spokojnym głosem:

– No! Proszę cię, żebyś chodził przez jakiś czas w tej masce, oszczędzaj się. Tutaj masz specjalną maść, która przyspieszy gojenie. Ma trochę nieprzyjemny zapach, ale jakoś wytrzymasz. Masz smarować rano i wieczorem. Znając życie i twój organizm, w ciągu paru dni kość się zrośnie i będziesz mógł ściągnąć maskę.

– Dobrze, a mam też w niej spać?

– Nie, skóra musi trochę odpocząć, bo dostaniesz uczulenia. Ooo...! Już zjedliście i jak, smakowała wam zupa?

– Tak, Kari, była pyszna! Zjadłem cztery miski! – odpowiedział Timi z szerokim uśmiechem.

– Na ciebie, kajtku, można zawsze liczyć. – Poczochrała go po blond czuprynie. – Aż przyjemnie było patrzeć, jak wsuwasz kolejne porcje jedzenia. Tylko zastanawiam się, gdzie ty to wszystko mieścisz? – odpowiedziała chłopcu z uśmiechem. – Mnie się już nie chce jeść. Zjem sobie później, bo przez to czekanie na was i wielokrotne próbowanie, po prostu się najadłam.

– Chłopcze... – wtrącił Letoy z poważną miną, zwracając się do Brego. – Opowiedz mi, co się stało z robotem. Tylko wszystko po kolei i dokładnie!

– Mogę ja, braciszku? Proszę, proszę, proszę, proszę! – Nim Brego coś odpowiedział, młodszy z braci już zaczął opowiadać całą historię.

Chłopakowi, widząc, że bratu bardzo zależy i że z pasją o tym opowiada, nie przyszło do głowy, by mu przerwać. Timothee opowiadał o całym zajściu z wielką starannością i dbałością o detale. Zaczynając od wspólnego posiłku, prośby o zabranie go na polowanie, a także o dziwnym przeczuciu brata, którego nie mógł zrozumieć. Przybliżył przebieg rozmowy z poborcami i opisał to, jak nie potrafił wykrzusić słowa po ciosie, który otrzymał brat. Później była próba wyrwania się robotowi oraz wzmianka o odcięciu głowy droida przez Brego. Także o tym, jak drugiemu z blaszaków strzelił między oczy. Chłopak opowiadał z takim zapałem i dumą, że wszystkich porwał swoją mową. Każdy przy stole go słuchał i patrzył na niego, oprócz Brego, który wzrok miał spuszczonej, jakby się wstydził tego, co uczynił. Bardziej zastanawiało go, kiedy chłopak skończy mówić, bo chciał już wyjść. Stwierdził, że już za dużo czasu stracili na tych odwiedzinach, a że nie przepadał za długim przesiadywaniem u kogoś, zaczął nerwowo wiercić się na krześle. Wuj Letoy, słuchając chłopca, co chwilę podnosił i opuszczał brwi, jakby do końca nie wierzył w to, co słyszy. Jego córki natomiast wpatrywały się w chłopaka jak w obrazek, jakby niezły film akcji oglądały.

– ...i tak właśnie mój brat uratował mnie przed wyzyskiem w kopalni.

Nareszcie skończył, smarkacz jeden! – powiedział sobie Brego w myślach.

– Wiesz o tym, że Mark nie będzie zadowolony z tego, co zaszło – oznajmił Letoy stanowczym głosem. – Będzie chciał się zemścić.

– Trudno, będę czekał na niego – odparł Brego pewnym siebie głosem. – Chcę wam powiedzieć, że chłopak jednak nie zostanie u was na czas mojej nieobecności – wypowiadając to zdanie, skierował wzrok na Timiego. Reszta domowników wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, także chłopiec. – Mój brat pojedzie ze mną. Będę szkolił go, by pewnego dnia mógł nam wszystkim pomagać przetrwać na naszej, jakże wspaniałej, planecie. Może kiedyś stanie się lepszy nawet ode mnie. Jeżeli, chłopcze, jesteś chętny, by się uczyć pod moim okiem, to idź i przygotuj ścigacz do drogi.

Timi, słysząc te słowa, poczuł ogromną radość, aż łezka zakręciła mu się w oku. Wstał powoli z krzesła, wyprostował się, robiąc się przy tym jakby wyższy. Z poważną miną poszedł w stronę drzwi, nie wypowiadając żadnego słowa. Brego odprowadził go wzrokiem do wyjścia. Gdy brat wyszedł, on zwrócił twarz w stronę domowników. Kiwnął twierdząco głową w ramach podziękowania i pożegnania. Gdy to uczynił, podszedł do stojaczka przy drzwiach, na którym zostawił swój podstawowy ekwipunek. Miecz, blaster, nerkę na kunai i shurikeny. Starannie wszystko przypiął i poprawił, by nie krępowało mu ruchów. Gdy już miał zrobić krok za próg domu, zza jego pleców odezwał się wuj Letoy, który razem z córkami odprowadzał gościa do drzwi.

– Brego, czy ty jesteś tego pewien? – zapytał stanowczym głosem. – Chłopak nic nie odpowiedział, nawet się nie odwrócił. Jedyne zacisnął pięści jakby ze złości. Cisza trwała krótką chwilę. – Dobrze wiesz, że nie jest on twoim biologicznym bratem. Nie jest on nawet Kartezjańczykiem i może nie podołać szkoleniu, nie przeceniasz go? Może stać mu się krzywda, może nawet zginąć.

– Zamknij się! – odpowiedział chłopak z ogromną nienawiścią w głosie. – Też tak samo myślałem, jak wy. Dziś Timi pokazał mi swoją wielką odwagę i siłę. Wierzę w niego, że mu się uda i wy też powinniście. On ma większą siłę, niż nam wszystkim się wydaje. Na pewno dużo osiągnie, ja w to wierzę, dlatego będę go szkolił, jak najlepiej potrafię. Jest moim bratem i tylko to się liczy, to co było kiedyś, nie istnieje, nie wróci. Tak jak nigdy nie wróci Kartezja ani moi rodzice, których straciłem na zawsze. Ja go przygarnąłem, więc jest on Osmanem i mam to gdzieś, że nie jest moim biologicznym bratem.

– Pamiętaj, chłopcze, jesteś ostatnim Kartezjańczykiem. Masz rację, doskonale pamiętam, że gdy przybyliśmy na tę planetę, to zaufałem tylko tobie, więc mam nadzieję, że i tym razem się nie mylisz.

– Nie musisz mi zawsze tego przypominać. Wiem, że jestem ostatni i wcale mi to nie przeszkadza – zakończył dyskusję niezbyt miłym tonem.

Brego podążył w stronę ścigacza. Letoy, Kari i Anne poszli powoli za nim, jak mieli w zwyczaju. Zawsze żegnali Brego przed jego kolejną podróżą.

– Tato? – zapytała Kari. – Czemu za każdym razem przypominasz mi, że jestem ostatnim ze swojego ludu?

– Nie robię tego w złej wierze, po prostu martwię się o niego. Jego lud był znany z odwagi, ale także z ogromnej głupoty na polu bitwy. Wyznawali zasadę: „Czym więcej przeciwników, tym bardziej godna śmierć”, coś takiego jak starożytni Spartanie, ale ci to byli dopiero fanatycy.

– Brego nie odbył żadnego szkolenia wojskowego, więc tak naprawdę jest samoukiem.

– To jest im przekazywane w genach, tak samo jego zachowanie. Niby buńczuczne, ale w stu procentach oddane. Jego skupienie wzrasta do niewyobrażalnego dla nas poziomu. Cieszy się, że może sprawdzić swoje umiejętności. Jeśli poniesie porażkę, to widocznie zwycięstwo nie było mu pisane i był za słaby.

– Ty podziwiasz jego czy wychowanie kartezjańskie?

– Jedno i drugie. Znałem paru w czasie wojny, żaden nie przeżył. Byli świetnie wyszkoleni i byli świetnymi kompanami, ale żaden z nich nie dotrwał do końca wojny. A Brego? Jakby wyglądała ta osada, gdyby nie on? To on dostarczał na początku jedzenie, to on podczas eksploracji regionu znalazł pokłady rudy, a teraz tam jest kopalnia utrzymująca osadę. Gdy zaczęto dostarczać jedzenie z zewnątrz, tak naprawdę Brego Osman przestał być potrzebny. Dlatego Brown chce się go pozbyć i boję się, że w końcu sprowokuje chłopaka i niepotrzebnie popłynie krew.

– Siostrzyczko, zrobiłaś to, o co cię prosiłam? – zwróciła się Kari do Anne.

– Tak.

– Co wy znowu wymyśliłyście, dziewczuchy?

– Nic, tatku.

– No mówcie, nie macie prawa mieć tajemnic przede mną!

– Tatku, spokojnie, chodź, naleję ci wody.

Kari zawróciła wózek i podążyli do domu. Gdy wchodzili do środka, dziewczyna jeszcze raz spojrzała w stronę, w którą odjechali bracia. Jej wzrok dużo mówił; patrzyła z troską i już tęskniła za Timim – małym głodomorem i Brego – jej przyjacielem, ostatnim z dumnego ludu Kartezji. Zamknęła powoli drzwi, a przez myśl przeleciały jej słowa:

On jest nam potrzebny i będzie zawsze. Przecież jesteśmy prawie jak rodzina.

* * *

W czasie jazdy Timiemu strasznie dłużyła się droga. Chciał jak najszybciej dotrzeć na miejsce i jeszcze dziś odbyć swoją pierwszą lekcję. Zastanawiał się, jakim Brego będzie nauczycielem. Wymagającym czy raczej będzie dawał mu lekkie fory? W końcu był jego bratem. W czasie tych rozmyślań zdążyli przemierzyć dolny poziom mieszkalny. Minęli bramę osady, przy której siedział zawsze pijany wartownik. Poza osadą widoki wcale nie były lepsze, na pewno aż

zanadto się nie zmieniły. Było szaro, wszechobecny kurz oraz pył drapały w gardło i oczy. Świat i przyroda wydawały się tutaj nieżywe. Mijali co jakiś czas pojedyncze, uschnięte drzewa i krzewy. W pewnym momencie chłopiec dostrzegł karłowaty las. Tym razem nie zadawał pytań, co Brego bardzo dziwiło. Wyczuwał u niego ogromne napięcie i podniecenie. W końcu był pierwszy raz poza osadą i spełnił swoje marzenie, by być z bratem na rzekomym „polowaniu”. Jechali tak w ciszy dobrych kilka godzin. Nagle, w odległości kilkuset metrów, gdy przejeżdżali wzdłuż czegoś, co przypominało kanion, usłyszeli jakieś stworzenia. Straszne buczenie i warczenie jakby wściekłych psów. Nad wyrwą w ziemi unosiły się kłęby kurzu, musiała tam trwać zażarta walka. Brego wyłączył światła, zmniejszył prędkość, by ścigacz jak najciszej sunął po ziemi. Jechali tak kilkanaście minut. Timi trzymał ręce na kolanach i co chwilę je wycierał w spodnie. Pewnie pocily mu się z powodu wzrastającego poziomu adrenaliny, w końcu było to coś nowego dla niego. Gdy kanion skręcił na wschód, Brego znów zapalił światła i zwiększył moc, kierując maszynę na północ. W pewnym momencie na horyzoncie zaczęła się ukazywać dość wysoka góra w kształcie stożka. Nie była aż tak potężna, jak ta przy osadzie, ale też robiła ogromne wrażenie. Jechali wprost na nią.

– Czemu jedziemy w stronę tej góry? – zapytał Timi.

– Tam jest moja skrytka, powiedzmy: baza wypadowa. Weźmiemy co trzeba, uzupełnimy zapasy i ruszymy dalej.

Gdy podjeżdżali do owej góry, młodszy z braci zauważył kilkanaście wyjeżdżonych przez ścigacz ścieżek. Było ich tak wiele, że niektóre przecinały się wielokrotnie. Na pytanie młodszego brata, Brego wytłumaczył, że zrobione jest to celowo. By nikt nie znalazł wejścia do kryjówki. Brego nie musiał się zastanawiać, którą ścieżkę wybrać. Wjechał z pełnym impetem pod górę i jechał, jakby drogę wskazywało mu jakieś urządzenie. Timi doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to on porobił te ścieżki i tylko on wie, która jest tą właściwą. Okrążyli kilka razy górę. Brego co jakiś czas zatrzymywał się, wysiadał i sprawdzał w ziemi, czy to, co tam zakopał, nadal

w niej się znajduje. Po paru kolejnych kółkach bracia się zatrzymali. Brego wysiadł z pojazdu, wziął łopatę, którą miał w pojemniku na ekwipunek, i zaczął odgarniać piach. Oczom Timiego ukazała się sporych rozmiarów decha z dość lekkiego tworzywa. Wspólnymi siłami ją odsunęli. Zasłaniała wjazd do jaskini o idealnie pasującym na szerokość ścigacza wyłomie. Starszy z braci wsiadł z powrotem do pojazdu i bardzo powoli wjechał do środka. Zgasił światła oraz silnik i zabrał skrzynię z ekwipunkiem. Trzy razy się jeszcze upewnił czy wszystko ze sobą zabrał i powyłączał. Wyszedł z jaskini i powtórnie razem z młodszym bratem położyli deskę na to samo miejsce, by ta zakryła skrytkę. Staranie przysypali piaskiem i uklepalili dla pewności. Brego złapał za skrzynię i poprosił brata, by mu pomógł, w końcu swoje ważyła. Chłopak, nie zastanawiając się długo, złapał za drugi uchwyt i razem poszli w stronę szczytu.

Przy samym końcu drogi Brego zatrzymał się, kazał chłopcu odstawić skrzynię, wyciągnął znowu łopatę i zaczął kopać. Ta sama sytuacja, co kilkanaście minut wcześniej. Dokopali się do deski przykrywającej wejście do kolejnej jaskini. Ta osłona była o wiele mniejsza od pierwszej, więc by dostać się do środka, nie potrzebowali aż tyle czasu co poprzednim razem. Starszy z braci zapalił pochodnię, którą zapewne nabył od Igora, handlarza przybywającego co jakiś czas na Tung. Zaczęli wnosić skrzynię do środka, po drodze zapalając kolejne przytwierdzone do ścian pochodnie. Ich jedynymi tutaj źródłami światła były jakiegoś rodzaju misy z bezwonną cieczą. Jednak, po zetknięciu z ogniem, dawały na tyle intensywne światło, że w promieniu kilku metrów mieli oświetloną drogę. Timi był zaskoczony i ciekawy, jak bratu udało się znaleźć dwie takie jaskinie na jednej górze. Nie zadawał pytań, bo wiedział, że przyjdzie czas i na nie. Weszli w końcu do „bazy”. Była to grotta wyżłobiona w górze. Z licznymi kamieniami i wiszącymi stalaktytami. Miała kształt jakby zdefragmentowanego koła, a sufit był pofałdowany jakby kwadratowy i bardzo wysoki. Gdzieś w jakimś miejscu krople wody rozbijały się o ziemię, co przy panującej wokół ciszy było wyraźnie słyszalne, a nawet trochę przerażające. Brego

zapalił kolejne pochodnie, a oczom młodszego z braci ukazały się głowy szczura wodnego, rakghulla i jeszcze jednego małego gryzonia. Nie znał go; nie był podobny do żadnego spotykanego przez niego w osadzie. Na ten widok przypomniał sobie o niedawno wypowiedzianych słowa brata.

– Ktoś mówi, że nie zabija dla przyjemności, a tu proszę, trzyma w swojej kryjówce trofea – wytknął bratu.

– Gdy zacząłem eksplorować obszar wokół osady – powiedział Brego spokojnym tonem, jakby chciał się wytłumaczyć. – Musiałem wiedzieć, z czym mam tu do czynienia. Złapałem po jednym z tych gatunków i zrobiłem im sekcje. Uchroniło mnie to od niespodzianek w terenie, dowiedziałem się również, że jad rakghulli jest toksyczny.

W grocie po lewej stronie była jakby kuchnia z miejscem na małe ognisko, po prawej łóżko do spania a za kotarą, na wprost, leżała sterta różnych niepoukładanych rzeczy.

– Jest tu taki sam porządek jak u nas w domu – zauważył Timi, mówiąc to jakby żartem.

– Nie martw się, spędzimy tu tylko chwilę – odpowiedział Brego, znikając w zaułku.

Timi był z natury ciekawym chłopcem, więc poszedł za bratem, by zobaczyć, co tam się znajduje. Wziął pochodnię ze stojaka, który był ustawiony przy stole stojącym w centralnej części groty, zapalił od drugiej zawieszanej na ścianie, i od samego widoku oniemiał. W dość sporym wyżłobieniu w górze był ustawiony jakby mały ołtarzyk, na którym złożono sztuczne, piękne kwiaty i parę palących się świec. Na ścianie nad nim wisiała damska bransoletka z korali. Tuż obok niej Brego powiesił swój miecz, uklęknął, zamknął oczy, jakby się modlił. Timi wszystkim się przyglądał w milczeniu, nie wiedział, jak ma zareagować ani dla kogo jego brat stworzył ten ołtarzyk. Po chwili dowiedział się tego.

– To dla moich rodziców. Tych prawdziwych, których już prawie nie pamiętam. Moja mama miała ciemne włosy i piękny uśmiech, który nigdy nie schodził z jej twarzy. Ojciec był silny, bardzo silny, dziwne, że to akurat pamiętam. Jednak nie mogę przypomnieć sobie

jego głosu czy rysów twarzy, ale pamiętam, że emanował wewnętrzną siłą. Czuło się strach i jednocześnie szacunek do niego. – Otworzył oczy i spojrzał na ścianę. – To jedyne rzeczy, które mi po nich zostały. Dali mi to wszystko, gdy opuszczając Kartezję w ostatnim transporcie. Nie pamiętam tej ucieczki, bo byłem nieprzytomny. A także tego, co się z nimi stało. Jedyne wiem, że orkowie wybili w pień mieszkańców, podobno nikt nie przetrwał. Następnie wysadzili moją rodzinną planetę, a ja skończyłem w obozie przejściowym na planecie Atrotros. Resztę historii znasz, bo to tam włamałeś się do transportowca Igora i leciałeś na gapę. – Timi skinął tylko głową.

Doskonale pamięta tułaczkę po zapuszczonych kanałach tej planety, żywił się tym, co znalazł w śmietniku albo co ukradł. Nie raz płacąc za to dotkliwym pobiciem. Ten transport miał dać mu nowe, lepsze życie i rzeczywiście dał. A najważniejsze jest to, że dał mu osobę, która zaopiekowała się nim i zaczęła darzyć go nieznanym mu do tej pory uczuciem. Brego wstał z miejsca, podszedł do miecza i delikatnie, z szacunkiem, zdjął go ze ściany.

– Pożyczę, tato, i zwrócę jak najszybciej. – Włożył go do pochwy przytwierdzonej na plecach i wyszedł.

Chłopiec stał jeszcze chwilę, uklonił się i ruszył za bratem. Spakowali wodę, dość sporą ilość szczurzego mięsa, jakieś konserwy, które pewnie Brego wyhandlował od Igora. Włożyli do dużych plecaków jeszcze kilka innych przedmiotów, które Timiemu wydawały się kompletnie niepotrzebne. Założyli plecaki i wyruszyli w drogę, na zachód od kryjówki. W czasie wydłużającego się marszu myśli młodszego z braci zaczęły błądzić wokół Brego oraz przyjaciół w osadzie. Trochę tęsknił za nimi, za zabawami z Kari i Anne, a także za opowieściami wuja o wojnie. Najbardziej za tymi o mutantach; ciekawe jak one wyglądały? Bo wuj powiedział, że w Republice już ich nie ma ze względu na „bezpieczeństwo”, ale czy faktycznie oni byli tacy groźni?

Czas mijał od przystanku do przystanku, a te były raczej krótkie. Brego tłumaczył, że w pobliżu mogą być rakghulle, a one są bardzo niebezpieczne. Kęs szczurzyzny, parę łyków wody i dalej w drogę.

Prawie ze sobą nie rozmawiali. Młodszy z braci skupiał się na tym, by dotrzymać kroku starszemu. Na każde pytanie Timiego Brego odpowiadał lakonicznie albo wcale. O śnie praktycznie nie było mowy; jedynie Timi ucinał sobie krótkie drzemki. Jak Brego to robił, że wcale nie chciało mu się spać, nie miał pojęcia. Chłopak wstawał, zakładał plecak i ruszał dalej, w tym samym tempie. Droga minęła im spokojnie, jakieś zwierzęta w oddali walczyły pewnie o jedzenie, ale ich samych nie niepokoiły. Dotarli do sporych rozmiarów krateru, z małym wodospadem i oczkiem wodnym. Od razu Brego zaznaczył, że woda na całej planecie jest skażona. Rozbili mały obóz na uboczu, osłonięty głazami, tak że tylko z jednej strony krateru było ich widać. Od frontu, co zmniejszało możliwość niespodziewanego ataku z innych stron. Rozpalili ognisko ze specjalnego tworzywa niewytwarzającego dymu, przez który mogliby zaciekawić jakieś stworzenia. Następnie położyli się w niewielkim namiocie zabranym z kryjówki Brego. Ten wytłumaczył młodszemu bratu, że takich namiotów używali himalajscy w górach. Śpiwory były grube i ciepłe, lecz niestety spali na gołej, twardej ziemi. Mimo uważnego zebrania kamyków z miejsca, w którym miało stanąć ich schronienie przed ewentualnym deszczem, jakieś dwa Timi przeoczył i teraz uwierały go okropnie w plecy. Zmęczenie dało o sobie znać, więc nawet te nieszczęsne kamyki nie przeszkodziły mu w odpłynięciu w sferę snów, gdzie ukazał mu się obraz tego, co im przyniesie kolejny dzień. W końcu będzie mógł pokazać, na co go stać, widział minę Brego, jego osłupienie co do talentu młodszego brata. Pokazał nareszcie, że nie jest już dzieckiem. Później śnił, że będzie mógł dużo więcej czasu spędzać z bratem, którego podziwiał. Miał same dobre i miłe przygody, których tak mu brakowało w ostatnim czasie.

Brego natomiast siedział przy ognisku i rozmyślał nad tym, w jaki sposób trenować chłopaka. Mógł przecież nie tylko okazać się tak samo dobry, ale nawet lepszy od niego. Nikt go nie uczył, wszystkiego co umie, nauczył się sam, często metodą prób i błędów, co skutkowało wieloma ranami i otarciami. Jednak Letoy miał trochę racji. Zbyt intensywne szkolenie może zrazić i zniechęcić Timiego. Lecz

podczas drogi chłopak ani razu nie narzekał, co może oznaczać, że nie będzie krnąbrnym uczniem. Zmęczenie dopadło go znienacka, położył się koło chłopaka i szybko zasnął, bardzo szybko... oby miał dobre sny... oby nie koszmary, nie chciał koszmarów... najlepiej jakby nic mu się nie śniło.

* * *

Obudził się cały zlany potem, oddech miał ciężki, jakby przebiegł kilka kilometrów bez przerwy. Przyśnił mu się znów ten sam koszmar. Ogień, który trawi miasto, zwłoki porzucane dokoła niego. Na rękach miał krew, ale czyją? Brodził po kolana w wodzie... ta postać... ta postać, która przechadzała się brzegiem. Czy to kobieta?... *ona coś mówiła, mówiła do niego?*

– Zawiodłeś ich, zawiodłeś ich wszystkich!

Wtedy zawsze się budził. Dlaczego cały czas miał ten sam sen? Tego nie wiedział. Na początku starał się go zrozumieć, później starał się do niego przyzwyczaić, teraz po prostu się go bał. Strach przed krwią i śmiercią, co noc. Timiego nie było obok niego, co momentalnie go otrzeźwiło. Zerwał się na równe nogi i wypadł z namiotu jak oparzony. Ogromny głaz spadł mu z serca, gdy zobaczył chłopaka przy palenisku, mieszającego chochlą w małym garnuszku przyczepionym do rusztu.

– Ty już nie śpisz? – zapytał zdziwiony.

– No nie mogłem spać, więc stwierdziłem, że chociaż herbatę zrobię.

– Głodny jesteś?

– No pewnie! I to jak wilk.

– Hmm... w sumie to głupie pytanie, ty zawsze jesteś głodny.

Timi uśmiechnął się, gdy Brego rozdzielał między nich kolejne porcje szcurzyzny. Dał chłopakowi konserwę z owocami, najprawdziwszymi owocami w słodkiej zalewie. Timi był zachwycony ich smakiem, jak to ujął:

– Niebo w gębie!

Oczywiście nauczył się tego zwrotu od Letoya. Zjadł tak jak zawsze trzykrotnie większą porcję niż Brego, wydmuchał powietrze z płuc i szczęśliwym głosem stwierdził:

– Najadłem się!

– No to się cieszę – odpowiedział Brego. – Teraz weź plecak, który tam leży. W nim znajdziesz książkę, a raczej zeszyt z moimi zapiskami i doświadczeniami ze spotkań z istotami żyjącymi na tej planecie.

– Książkę?! Myślałem, że będziesz mnie uczył walczyć, posługiwać się mieczem, blasterem lub normalnie pięściami. Nie sądziłem, że wyruszę do szkoły!

– Musisz wiedzieć, gdzie znajdują się słabe punkty twojego ciała. Które miejsca musisz chronić, by podczas walki na śmierć i życie nie zostać głupio zaskoczony. A do tego przyda ci się teoretyczna wiedza o własnym organizmie. Ważne jest, żebyś znał też słabe strony przeciwnika, ile tętnic ma szczur błotny, które nogi trzeba unieruchomić, by tarczownik przestał się ruszać, z tego zeszytu wszystkiego się dowiesz.

– A do czego ten kij? Co będę nim robić?

– Dowiesz się w swoim czasie. – Patrząc na to, z jaką awersją Timi zabiera się do studiowania jego notatek, przypomniał sobie, jak sam niechętnie do nich wracał, by odświeżyć sobie potrzebne informacje.

A teraz obserwował, jak ktoś musi się męczyć, by się nauczyć i zapamiętać wszystkie najpotrzebniejsze informacje. Już samo rozszyfrowanie jego pisma było dużą sztuką. Gdy chłopak czytał zapiski na głos, Brego wziął swój ekwipunek i z należytą starannością go oczyścił. Samo rozłożenie blastera zajęło mu dłuższą chwilę. Wilgotną szmatką, specjalną do tej czynności, wyczyścił broń i nasmarował, aby wszystkie mechanizmy były sprawne i zadziały w odpowiedniej chwili. Timi przyglądał się uważnie temu, co robi brat, nie zwracając zbytnio uwagi na to, czym miał się zająć. Gdy cisza była zbyt długa, Brego odwracał się w jego stronę, a ten jakby nigdy nic wracał do posłusznego recytowania. Po dłuższej

chwili miał już dość, nudziło go to okropnie. Zdarzało mu się, że nawet zaczynał przysypiać, co kończyło się ostrą reprimendą jego nauczyciela. Po krótkiej przerwie na obiad, Timi wrócił do nauki, a Brego poszedł sprawdzić pułapki, które porozstawiał w niedalekim sąsiedztwie kanionu.

Tak minęło im kilka pierwszych dni: jeden pilnie się uczył, drugi sprawdzał, czy coś złapało się w pułapki. W końcu pewnego dnia starszy z braci stwierdził, że wystarczy tej nauki. Przepytał swojego ucznia i ku jego zdziwieniu na trzy pytania chłopiec odpowiedział perfekcyjnie. Idealnie opisał, które miejsca powinien sam starać się ochronić, wiedział na co są wyczulone szczury błotne oraz jak ukryć się przed wzrokiem rakghulla. Timi z wypiekami na twarzy oczekiwał swojego pierwszego prawdziwego treningu. Brego popatrzył pytająco na chłopaka i wiedział, że nie będzie w stanie już go odwieść od tej decyzji. Wzięli kij i wiaderka, które ze sobą przynieśli. Najpierw włożyli do nich kamienie i zalali wodą z pobliskiego oczka. Jakie ogromne było zdziwienie Timiego, gdy dowiedział się, na czym będzie polegało jego pierwsze ćwiczenie! Otóż zadanie w pierwszym odczuciu było banalne, wystarczyło w dużym rozkroku wejść pod dość stromą górkę. Timi założył „przrząd” treningowy i zaczął wchodzić. Grunt był grząski, chłopak chwiał się na nogach i co rusz woda wylewała się z wiader. Dodatkowo kij był pokryty specjalnym, śliskim preparatem, co utrudniało wykonanie ćwiczenia. Po ubytku wody musiał zejść z miejsca, w którym się znajdował. Uzupełnić ją i powtórnie, spróbować wejść pod górę. Brego pouczał brata:

– Skup się!... stawiaj pewnie kroki!... nie spiesz się, pewny krok to musi być twoje oparcie!... pamiętaj o równowadze!...

Gdy w końcu chłopak dotarł na górę, czuł, że nogi go palą. Niepewnie stał na nich, mając wrażenie, że zaraz się przewróci. Nie było jednak przerwy, musiał wrócić tą samą drogą, ale tyłem. Na dole czekał na niego jego nauczyciel, który dołożył mu kamieni i nakazał powtórnie ruszyć do góry.

– Na co mi to, Brego? – zapytał, ciężko dysząc.

– W tym ćwiczeniu chodzi o zachowanie równowagi w trudnym dla ciebie terenie. Nie zawsze będziesz walczył w dogodnych warunkach. Musisz znać słabe strony twojego ciała, a dzięki obciążeniu wzmacniasz nogi. Dość gadania, teraz wejdiesz i zejdziesz przodem, a następnie tyłem.

Timi nie dyskutował dalej, ustawił się na linii i ruszył w stronę szczytu. Po kilkunastu „przebieżkach” dotrwał do przerwy. Opadł na kolana, nie czując nóg. Dostał butelkę filtrowanej wody, przyssał się do niej i dużymi łykami wypił całą naraz. Brego nakazał mu wstać i wytrzymać ten ból. Tłumaczył:

– Może być kiedyś sytuacja, że po ciężkim pojedynku będziesz ranny, wykończony, ale będziesz musiał uciekać przed wrogiem...

Nogi miał jak z waty, w każdej chwili mógł się przewrócić, teraz czekał go jeszcze bieg z przeszkodami. Trasa może nie była wymagająca, ale będąc w obecnej kondycji, Timi co chwilę się potykał. Kilka razy nawet się wywrócił; zrobili dużo kółek po kraterze. Młodszy z braci stracił rachubę przy siódmym okrążeniu. Brego starał się go wspierać i podpowiadać mu:

– Trzymaj tempo!... pamiętaj o oddechu!... równe tempo... pamiętaj; krok za krokiem!

Z czasem niewiele do niego docierało. Przed oczami pojawiała się mgła, jakby ktoś zaczął wyłączać mu kolejne zmysły. Koniec! Nareszcie koniec tej mordowni. Znowu padł na kolana, ciężko łapał powietrze, pot zalewał mu oczy. Chciał wody, ale nauczyciel mu nie dał chwili wytchnienia. Kazał wstać, musiał wytrzymać na nogach. Nieważne co się stanie, musi stać! Brego wyciągnął z plecaka niewielkich rozmiarów kulkę. Przełączył włącznik i urządzenie zaczęło cicho brzęczeć. Następnie Brego wręczył Timiemu ciężki metalowy pręt, przynajmniej teraz wydawał się ciężki. Dodatkowo dostał obciążenie na nadgarstki i kostki.

– Teraz będziemy trenować refleks. Przy twoim obecnym zmęczeniu przyniesie to najlepsze efekty. Kulka będzie się obracać, by cię zmylić, i strzelać w twoją stronę niezbyt mocnymi ładunkami elektrycznymi. Twoim zadaniem jest odbicie ładunków tym prętem,

uchylanie się będzie karane poprzez wystrzał większej ilości ładunków w następnej rundzie.

Timi tylko przytaknął, podniósł pręt i czekał. Kulka zaczęła się obracać, obniżać i podnosić, w końcu strzeliła i trafiła chłopaka w ramię. Następną próbą: kulka obraca się, podnosi, obniża i znów trafia, tym razem w udo.

– Skup się, chłopcze, nie myśl o zmęczeniu, nie myśl o bólu. Myśl o tym, co jest tu i teraz. Twoim zadaniem jest odbić ładunek. Skup się tylko na tym!

Mimo pomocy starszego brata i cennych uwag do końca treningu nie udało mu się odbić ani jednego strzału. Gdy Brego zarządził koniec, dla chłopaka było to jak wybawienie. Opadł na kolana, starając się uspokoić oddech, a także walące jak oszalałe serce. Czuł się tak, jakby wszystkie siły opuściły jego ciało. Nie mógł się podnieść, nie mógł ruszyć nogami ani rękoma. Adrenalina dodatkowo pulsowała w skroniach, przez co trudniej było mu się skupić. Miał dość, wiedział, że treningi z Brego mogą być ciężkie, ale w najczarniejszych snach nie spodziewał się, że aż tak. Już zaczęło zmierzchać, Brego przygotował kolację, nakazał Timiemu nie ściągać odważników z rąk i nóg, co miało go utrzymać w ciągłym treningu. Dziwny był ten wieczór, zjedli kolację, praktycznie nie wypowiadając do siebie słowa. Po posiłku młodszy z braci upadł ciężko na swoje miejsce do spania, teraz chciał tylko zasnąć. Jednak coś nie dawało mu spokoju.

– Bracie, a skąd ja pochodzę? – Po tym pytaniu Brego zamyslił się, po czym odpowiedział zrezygnowanym głosem:

– Nie wiem i pewnie się tego nigdy nie dowiemy. Igor znalazł cię w luku bagażowym statku, którym lecieliśmy na Tung. Chciał cię wyrzucić, bo nikt mu za ciebie nie zapłacił, ale udało mi się go przekonać, by tego nie robił.

– Chyba wtedy pierwszy raz uratowałeś mi skórę... A jak twój tata miał na imię?

– Valerius...

– A mama?

– Diana...

– Ładnie, bardzo ładnie. Jeśli kiedyś będę miał córkę, to nazwę ją Diana. – Po tych słowach zasnął.

Ten dzień dał mu ostro popalić, ale kolejne nie miały być lżejsze. W następnych tryb treningów się powtarzał. Wspinaczka z wiadrami, morderczy bieg, nawet kilkadziesiąt kółek, a później ta kulka, która ewidentnie sprawiała mu największe problemy. Pewnego dnia Brego podniósł poprzeczkę. Co rusz popędzał chłopaka, do takiego stopnia, że ten praktycznie ciągle biegł. Dodatkowo droid treningowy strzelał mu w nogi. Chłopak musiał nie dość, że utrzymać równowagę, to również robić uniki. Co powodowało trudniejsze zadanie w następnej rundzie. Gdy w końcu dotarł na dół, kolejny raz padł na kolana ze zmęczenia. Kij zsunął się z jego barków, a głowa opadła na klatkę piersiową. Brego kazał mu wstać, raz, drugi, lecz Timi nie zareagował. Zaczął się obawiać, że chłopak ze zmęczenia zemdleł. Jego klatka piersiowa dziwnie i nierównomiernie się podnosiła. Dopiero po chwili Brego zauważył, że coś jest nie tak. Powietrze wokół nich jakby stanęło w miejscu, a dookoła zobaczył unoszące się na wietrze tumany kurzu i małych kamyczków.

Czyżby burza piaskowa? Przecież na tej planecie nie ma takich anomalii pogodowych!

Zerknął w stronę Timiego, wokół jego ciała pojawiły się oplatające go kamyki, które pękały, gdy unosiły się nad jego głowę. Brego przeraził się tym, co zobaczył. Kim lub czym jest chłopak, którego nazywał bratem? Paraliż przetoczył się przez jego ciało jak walec zgniatający wszystko na swojej drodze. Jego serce waliło jak opętane, aż brakowało mu tchu. W uszach huczało, jakby wokół pracowały cały czas ciężkie maszyny z kopalni. Chłopak mówił coś kompletnie niezrozumiałego.

– Timi? Czym ty jesteś? – zapytał Brego drżącym głosem.

– Czas śmierci!... Czas krwi nadchodzi!... – Usłyszał metaliczny, pozbawiony emocji głos Timiego.

Chłopaka przeszedł zimny dreszcz, gdy zobaczył oblicze młodszego brata. Jego twarz była blada i spokojna. Wywrócone białkami

do góry oczy nie mogły niczego widzieć, a jednak Brego miał wrażenie, że uważnie się w niego wpatrują i oceniają...

– Twoje przeznaczenie nadchodzi!... Na twych rękach jest krew!... Twoją drogą jest śmierć!... Nadciąga czas wypełnienia się twojego przeznaczenia!

Wszystko jakby nagle się zatrzymało. Niespodziewany podmuch cisnął nim kilka dobrych metrów w tył. Plecami uderzył w duży kamień z taką mocą, że aż w oczach mu pociemniało. Momentalnie burza ustała, a Brego powoli zaczął zbierać się z ziemi. Był spięty, jego ciało delikatnie drżało, a oddech miał ciężki, jakby po długim biegu. Brego sprawdził, czy nie jest ranny. Jego myśli i zmysły zaczęły szaleć, po prostu poczuł strach przed bliską mu osobą. Nadal był oszołomiony po tym, co zobaczył. Timi leżał bezwładnie twarzą do ziemi, a Brego bał się do niego podejść. Ta niepewność trwała w rzeczywistości dosłownie kilka sekund, jednak dla starszego z braci była to nieskończoność. Powoli podszedł do chłopca, stanął nad nim i zaczął głośno rozmyślać:

– Kim on jest? Czym on jest?

Cały czas to pytanie nasuwało mu się na myśl. Gdy zebrał się w sobie, podszedł do Timiego i przewrócił chłopaka na plecy. Stwierdził, że ten stracił tylko przytomność i nic poważniejszego mu się nie stało. Wziął go na ręce i zaniósł przed namiot. Rozpalił ognisko tak, by jego ciepło ogrzało chłopca, a sam usiadł po jego drugiej stronie. Wpatrując się w niego, zastanawiał się, co ma teraz uczynić. Zrezygnować z jego szkolenia? Czy wyszkolić go na tyle, by nigdy więcej taka sytuacja się nie powtórzyła? Wiedział jedno: Timothee, jego brat, jest mutantem, o których słyszał tak wiele historii. Nie mógł zrozumieć, jak to się stało. Jak to możliwe? Przecież mutanci na terenie Republiki zostali zneutralizowani wiele lat temu. Mówiono, że zabroniono mutacji w dalszych systemach, a każdy noworodek jest sprawdzany pod tym kątem. A teraz możliwe, że wśród całej galaktyki znalazła się taka jedna, mała duszyczka, którą nazywa bratem i która ma niezwykle dar posługiwania się mistyczną mocą.

Jednak ten dar może przynieść mu wiele kłopotów. Jeśli władze Tung się o tym dowiedzą, mogą wysłać Inkwizytorów Republiki – organizację do zwalczania mutacji. Brego dowiedział się o nich od Igora, a skąd handlarz zdobył o nich wiedzę to już jego tajemnica. Powiedział Brego tylko tyle, że jej członkowie są na wskroś pozbawieni jakichkolwiek skrupułów. Jedyne co się dla nich liczy, to znalezienie, zabicie i przyniesienie ciała do pobliskiego biskupa, by ten wypłacił im należne kredyty. Niewiele osób o nich wie, raczej zawsze starają się pozostawać w cieniu. Sprawy inkwizytorów również nie są specjalnie nagłaśniane. Możliwe, że pozbyli się już wszystkich mutantów... no prawie wszystkich. Tyle czasu miał go obok siebie, tyle razy ratował mu skórę, a teraz zdał sobie sprawę, że może być wielokrotnie słabszy od niego. Do czego jest tak naprawdę zdolny ten chłopak? Tego nie wiedział i nie był pewny czy chce się dowiedzieć. Im dłużej nad tym się zastanawiał, tym więcej miał wątpliwości. Dobrze mieć tak potężną osobę po swojej stronie, ale Timi może nad tą siłą nie zapanować. A wtedy stanie się groźny nie tylko dla niego, ale też dla wszystkich na tej planecie, a może i w całej galaktyce. Co gorsza, Brego miał mu przekazać całą wiedzę, jaką posiadał. Gdy tak rozmyślał, starając się znaleźć jak najlepsze wyjście z tej sytuacji, zasnął. Sny miał poplątane i strasznie chaotyczne. Raz śniła mu się mama, raz jego koszmar, a za chwilę Kari ze swoim szerokim uśmiechem, a na końcu Timi. Nie widział go tak jak zazwyczaj, gdy rozrabia albo je wielkie ilości jedzenia. Byli na jakiejś innej planecie, ziemię pokrywała trawa, niebo było niebieskie. Nagle krajobraz wokół się zmienił. Płonęło miasto, było słychać wystrzały, wokół szalała pożoga. Naprzeciwko niego w odległości kilku metrów pojawił się mężczyzna w średnim wieku. Był wysoki, dobrze zbudowany i kogoś mu przypominał.

– Timi? – zapytał niepewnie.

Odziany był w czarne, wysokie wojskowe buty, czarne, wzmocnione pancerzem na nogi spodnie, a tors, ramiona i ręce pokrywała czerwona zbroja. Wyglądał jak po przebytej bitwie – był umorusany krwią i błotem. Kask miał pęknięty tak, że połowa jego zmęczonej

twarzą była odsłonięta. Na ręce, na której był rozerwany pancerz, trzymał karabin blasterowy. Spływała po niej krew aż do nadgarstka. Wzrok miał nieobecny, ciężko dyszał i wyglądał na zrezygnowanego.

– Czas śmierci... Czas krwi nadchodzi – przemówił tym metalicznym głosem. – Twoją drogą jest śmierć!... – Brego poczuł obezwładniający i paraliżujący wszystkie jego zmysły strach.

Chciał coś powiedzieć, zbliżyć się do brata, ale nie mógł się ruszyć. Z jego ust wydobył się tylko niemy krzyk. Timi zaczął się do niego zbliżać. Oczy nadal miał wywrócone białkami do góry, a twarz wykrzywioną w grymasie bólu.

– Czas śmierci... Czas krwi... Czas śmierci... Czas krwi... – Podchodził coraz bliżej; w końcu stanęli twarzą w twarz. Timi wyciągnął rękę i zacisnął dłoń na jego szyi. Brego poczuł, że traci oddech. Był duszony przez własnego brata. – Czas śmierci... Czas krwi... Czas śmierci... Czas krwi – powtarzał w kółko.

* * *

– Brego! Brego! Brego! Zbudź się!

– Aaaaa! Nie...! – Chłopak zerwał się z miejsca, na którym leżał. Był cały spocony i zdyszany. Obrócił głowę w prawą stronę. Koło niego kucnął Timi ze zmartwioną miną, a nad nim stała Kari, która pojawiła się nie wiadomo kiedy.

– Spokojnie, braciszku, to był tylko zły sen. – Uspokajał Timi brata.

Brego gwałtownie odepchnął chłopca tak, że ten przewrócił się na plecy. Wstał na równe nogi, krzycząc przez ramię:

– Zostaw mnie! Nie zbliżaj się do mnie! – Pobiegł przed siebie.

Biegł tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to nogi. Schował się za jednym z większych kamieni, podciągnął kolana pod brodę; cały dygotał ze strachu. Po dłuższej chwili udało mu się uspokoić i zaczął odczuwać wstyd za swoje zachowanie. Wstał powoli, prostując obolałe kości, obrócił się i zauważył Timiego wraz z Kari siedzących przy ognisku. Niezbyt pewnym krokiem podszedł do nich, by wy badać,

jakie są ich nastroje po tym, co przed chwilą zrobił. Kari popatrzyła na niego z niemałym zdziwieniem, Timi natomiast wpatrywał się intensywnie w płomień ogniska.

– To, co zobaczyliście... – zaczął Brego.

– Nic się nie stało – przerwała mu Kari. – Miałeś zły sen, czasami to się zdarza. Czemu tak krzyczałeś, żeby ktoś cię zostawił?

– Ktoś mnie zaatakował we śnie, a ja nie byłem w stanie się bronić – kłamał, bo nie chciał, żeby zastanawiali się nad sensem tego wszystkiego. – A ty, mój bracie, jesteś na mnie zły?

– Nie! – odparł z ponurą miną. – Zaczynamy trening, Brego?

– Tak, możemy. A nie chcesz może trochę odsapnąć po wczorajszym przeforsowaniu?

– Zaczynamy czy nie?! – odpowiedział Timi z jeszcze większą złością.

Na te słowa wyraz twarzy Brego gwałtownie się zmienił. Widoczne jeszcze przed chwilą zakłopotanie zamieniło się w powagę. Takim też głosem kazał chłopcu wziąć kij z wiadrami i wchodzić pod górę. Tym razem młodszemu z braci poszło zadziwiająco szybko, praktycznie wbiegał pod górę, nie zatrzymując się nawet na chwilę. Brego był w szoku, wczoraj przed tym dziwnym zdarzeniem Timi ledwo mógł utrzymać równowagę, a dzisiaj pokonywał wszystkie przeszkody z wyrachowaną miną i pewnością we własne umiejętności. Jedynie kulka dalej sprawiała mu lekkie problemy, odbił kilka uderzeń, ale większość dotarła do celu. Skończył ćwiczenie z kulką, wziął kij z wiadrami i zaczął wszystko od początku. Brego doszedł do wniosku, że złość i rozczarowanie dodają mu sił. Niewiarygodnych sił, ale cóż się dziwić w końcu jest... czymś lepszym od człowieka. Mutantem. Brego bał się tego określenia, nie lubił go. Często ludzie mówili tak na innych, by ich poniżyć, obrazić. Timothee jest mutantem, taka jest prawda, i to najprawdopodobniej dar wrodzony.

Starszy z braci praktycznie się nie odzywał i nie podpowiadał, bo nie było takiej potrzeby. Widział, że wszystkie uwagi, które do tej pory mu przekazał, Timi przekalkulował i wyciągnął z nich wnioski.

Całą sekwencję powtórzył trzy razy, a później ewidentnie zaczęło brakować mu sił. Chłopak ponownie skupił się na treningu z małym droidem. Było widać, że ciężar na nogach i nadgarstkach oraz sama waga pręta przestają sprawiać mu trudność w poruszaniu. Gdy zapadł wieczór, usiedli przy ognisku. Atmosfera była dość napięta. Widać było, że Timi i Brego po tym, co wydarzyło się rano, dalej nie ochłonęli. Kari, która przypatrywała im się z uwagą, była w szoku, że jeden i drugi potrafią praktycznie cały dzień spędzić na treningu. Mało co jedli, mało co pili, więc jak podała im kolację, którą przygotowała, zjedli ją tak szybko, że nim się obejrzała, obaj poprosili o dokładkę, którą oczywiście otrzymali.

– Dziękuję, Kari – zwrócił się do niej Brego. – Powiedz mi, skąd wiedziałaś, gdzie jesteśmy?

– No, mój drogi, każdy ma swoje tajemnice. – Puściła do niego „oczko”. Poczowała satysfakcję, bo Brego się zacerwienił. – Gdy byliście u nas, poprosiłam Anne, by przypięła mały nadajnik do waszego ścigacza. Ja taki sam wrzuciłam do kieszeni Timiego, więc nie było wielkim wyczynem was znaleźć.

– Aaaa... tak to wykombinowałaś! – wtrącił się Timi. – Sprytnie jak zawsze.

– No ktoś musiał przyjechać i dać wam coś normalnego do jedzenia. Widzę, że tutaj cienko u was z porządnym odżywianiem.

– Nie przesadzaj, Kari. Potrafię coś dla nas ugotować

– Racja, potrafisz zrobić jakieś pomyje. A przy takim treningu Timi potrzebuje po prostu lepszego i bardziej pożywnego jedzenia. – Po jej słowach nikt się już nie odezwał.

Timi zjadł kolejną porcję, wstał i poszedł do namiotu. Gdy tylko przyłożył głowę do poduszki, natychmiast zasnął. Brego pomógł Kari posprzątać i usiadł przy ognisku, obserwując tańczące płomienie. Przyjaciółka usiadła obok niego i położyła mu głowę na ramieniu. Dziwnie się czuł, miał wrażenie, że przez jego żołądek przechodzą mrówki, nie wspomniał o tym dziewczynie. Nie chciał psuć tej chwili, oparł brodę na jej głowie i starał się odprężyć. Siedzieli tak dość długi czas, po czym Kari wstała.

– Dobranoc, Brego. – wyszeptła i dała mu buziaka w policzek.

Dumna z siebie i pełna satysfakcji z powodu tego, że po raz kolejny udało jej się zawstydzić Kartezjańczyka, udała się do namiotu. Wzięła ze sobą stary wojskowy śpiwór, pewnie należący do jej ojca, i położyła się obok Timiego. Brego postanowił spać pod gołym niebem. Tak minęła im pierwsza wspólna noc poza osadą. Następnego poranek spędzili na rozmowach, wspomnieniach i żartach. Atmosfera ewidentnie się oczyściła i rozluźniła. Przede wszystkim uśmiech nie schodził im z twarzy, pierwszy raz od dłuższego czasu. Timi w końcu wstał od ogniska i chciał złapać za kij, ale Brego zatrzymał go zdecydowanym ruchem ręki.

– Teraz będziemy trenować walkę białą bronią. – Brego wyciągnął z plecaka dwa krótkie treningowe miecze. – Pokażę ci podstawowe ruchy w ataku i obronie, a następnie będziemy trenować wspólnie.

– Dobrze, ale ja nigdy nie miałem miecza w ręku – oznajmił Timi.

– A ten pręt przy ćwiczeniu z kulką to co miał imitować? Tak, Timi, to żelastwo miało przygotować cię do nauki walki prawdziwym orężem.

Mina młodszego chłopaka mówiła sama za siebie. Brego był ogromnie zaskoczony tym, że w jednej chwili wiara Timiego, która jeszcze przed chwilą biła od niego, zgasła, a w jego spojrzeniu dostrzegł strach i zwątpienie. Nie tracąc więcej czasu, zaczął powoli tłumaczyć i pokazywać podstawowe ruchy i sekwencje. Jak trzymać poprawnie miecz, jak wyprowadzać nim ciosy i jak odbijać ataki przeciwników. Na tych ćwiczeniach upłynął im cały dzień. Dużo było podpowiedzi, ustawiania, poprawiania. Brego chciał, by Timi nabrał jak najszybciej wprawy we władaniu białą bronią.

Gdy zaczęli ich spowijać mrok, usiedli przy ognisku. Kari zrobiła wyśmienitą potrawę z grzybów i suszonego mięsa szczura. Tego wieczoru opowiadali sobie historie z osady, wspominali Letoya, Anne, nie stronili też od żartów na temat Brownów i tego, jak to poborca podatkowy chciał dobrać im się do skóry. Po wielu opowiadaniach

Brego kazał bratu położyć się spać. Kari zrobiła im trochę więcej jedzenia na kolejne dni, wiedząc o apetycie Timiego. Zostawiła im kopę pysznej strawy! Pożegnała się z małym i gdy wsiadała na swój motocykl repulsorowy, posłała Brego miły i troskliwy uśmiech. Chłopak trochę się spieszył, jak to on, ale odwzajemnił uśmiech. Kari ruszyła, a starszy z braci jeszcze przez chwilę wpatrywał się w jej blond włosy powiewające na wietrze. Następnego dnia rozpoczął się tak jak inne. Najpierw obfite śniadanie, później trening i wspinaczka, a w zasadzie bieg pod górę z kijem. Następnie bieg wokół krateru, odbicia z kulką i walka Timiego z własnym cieniem.

– Wyżej ręka... zaznacz ten zwód!... skup się, chłopcze!... dobrze, o to chodzi!... szybciej te cięcia od boku!...

I tak do wieczora, następnie kolacja i sen. Nazajutrz ten sam scenariusz. Tak mijały im dni i tygodnie. Timi zrobił w tym czasie olbrzymie postępy. Stał się prawie równorzędnym przeciwnikiem dla Brego. Lecz doświadczenie i spryt były po jego stronie. Zaczęli razem trenować. Po początkowych prostych błędach młodszy z braci złapał swój własny rytm. Zmieniali się systematycznie, atak – obrona, atak – obrona. Brego nie raz udało się zaskoczyć chłopaka, zwód – kontra i Timi był ścinany z nóg. Powtórzenie i znów wymiana trzech, czterech ciosów, zwód i kontra, z którą chłopak nie potrafił sobie poradzić.

– Musisz bardziej obserwować ruchy przeciwnika... kalkuluj, co może zrobić, bo inaczej...

Kolejna kontra. Timi starał się bronić, parować i odbijać ciosy. Niestety był wolniejszy i słabszy od brata. Nagle Brego zrobił piruet przez ramię i znalazł się za plecami Timiego. Trafił go w tył kolana, Timothee przykłęknął na jedną nogę, następnie Brego wytrącił mu miecz z ręki, a swój przyłożył do jego szyi.

– Inaczej zginiesz!

– To co mam zrobić, jak moim przeciwnikiem będzie ktoś szybszy, silniejszy, po prostu lepszy?

– Masz dwa wyjścia: uciekać albo zginąć w walce. Od ciebie zależy, które wyjście wybierzesz. – Na tym zakończyli dzisiejszy trening.

Zjedli i położyli się spać. Zanim Timi zasnął, starał się zrozumieć i wyciągnąć wnioski z lekcji, jaką otrzymał.

Przekazana chłopcu wiedza na temat technik ustawienia i kombinacji zaczęła przynosić bardzo szybko efekty. Ich wymiany były coraz dłuższe, coraz bardziej zażarte, żaden nie chciał ustąpić pola. Zdarzało się, że Timi robił błędy, wtedy starszy brat szybko je korygował w trakcie treningu:

– Za nisko lewa ręka... prawa, lewa, unik. Dobrze! Tak trzymaj!

Kari odwiedzała ich od czasu do czasu, sprawdzając, czy wszystko jest z nimi w porządku. Niekiedy musiała opatrywać Timiemu niewielkie rany lub otarcia. Z czasem zaczęła również opatrywać Brego, bo do takiego poziomu doszedł młodszy z braci, że niekiedy udawało mu się drasnąć nauczyciela. Troszczyła się o nich z wielkim zapałem, co Brego uspokajało. Wiedział, że gdy jego zabraknie, zostawi brata w dobrych rękach. Chłopak dawno zapomniał o zdarzeniu sprzed domu. Jego kość jarzmowa się zrosła i mógł rozstać się z maską, która utrudniała mu oddychanie. W ciągu tych kilku tygodni Timothee nie miał żadnego ataku, co Brego zastanawiało. *W jakich okolicznościach budzi się w nim ta moc?*

Jednak chłopaka coś trapiło, był niespokojny i przeczuwał, że coś niedługo się stanie. Gdy przyszła pora na kolację, usiedli w trójkę przed ogniskiem i rozmawiali. Znaczący, Timi z Kari cały czas gadali, a Brego siedział cicho, wpatrując się w ogień.

– Nad czym tak myślisz? – zapytała Kari.

– Nie wiem – odpowiedział. – Mam złe przeczucia, że coś się niebawem wydarzy. Coś, na co nie będziemy mieć wpływu i zmieni to nasze dotychczasowe życie.

– Oooo! Psia kość, zapomniałam! Igor kontaktował się z Markiem. Ma przylecieć niedługo na Tung z towarem i jakimiś bardzo ważnymi informacjami. Tak tajnymi, że nawet nie mógł tego napisać w wiadomości. Wiesz coś o tym?

– Nie, bo niby skąd? Widzieliśmy się ostatni raz kilka miesięcy temu. Coś podejrzewasz?

– No właśnie nie, nigdy nie był taki tajemniczy. Mogę zostać u was na noc? Boję się jechać sama taki kawał drogi o tej porze.

– A co na to twój ojciec?

– Pewnie się wścieknie, ale co tam, chyba ważniejsze jest moje bezpieczeństwo niż jego nerwy. – Posłała mu delikatny uśmiech.

– W sumie racja – przytaknął. – Zaczyna się pora żerowania rakghulli. Odstąpię ci swój śpiwór, Kari.

– A ty gdzie będziesz spać?

– Na ziemi albo w ogóle nie będę spać.

– To ja tak nie chcę! Jeszcze przeze mnie się przeziębisz.

– Postanowiłem. Idę na czaty, a wy się połóżcie i śpijcie. Dobranoc!

Kari nie miała wyboru, musiała przystać na propozycję chłopaka. Podczas rozmowy oboje nie zauważyli, że Timi już wszedł w śpiwór. Odwrócił się plecami do nich i spał, lekko pochrapując. Kari zrobiła to samo, zamknęła oczy i starała się zasnąć. Starszy z braci dołożył jeszcze stertę patyków do ogniska. Zerknął, czy jego przyjaciele już śpią i poszedł poszukać jakiegoś w miarę płaskiego głazu, który miał mu posłużyć dzisiejszej nocy za łóżko. Chciał mieć przy tym dobry widok na krater. Znalazł idealny głaz, z którego widział cały krater oraz ich obóz. Ułożył się tak, jak było mu najwygodniej. Obserwował niebo, które zawsze zasnuwały grube szare chmury. Tym razem było w miarę przejrzyste i dostrzegał nieliczne gwiazdy. Zastanawiał się, czy to przypadkiem nie jest zły omen. Nie było w obecnej chwili czego się obawiać, miał wszystko na widelcu. Nawet jakby pojawił się niespodziewany gość, był w stanie w ciągu paru chwil zjawić się na dole. Tak naprawdę, w głębi duszy, liczył na to, że coś się wydarzy. Chciał zobaczyć, jak zareagowałby Timi w obliczu zagrożenia. To mógłby być ciekawy widok!

– Mogę do ciebie dołączyć? – Pytanie dobiegło z lewej strony chłopaka. Odwracając głowę, zauważył Kari stojącą przy kamieniu z rękoma z tyłu ciała.

– Oczywiście, że możesz – odpowiedział, robiąc miejsce przyjaciółce.

Kari wgramoliła się na kamień i przytuliła do chłopaka, kładąc głowę na jego piersi i obejmując w pasie. Brego nie wiedział co zrobić, jak się zachować. Pierwszy raz był tak blisko z jakąś dziewczyną. Serce zaczęło mu walić jak opętane, ręce miał spocone i odczuwał ogromne napięcie. Nie takie samo jak przed pojedynkiem, to był inny rodzaj podekscytowania, którego do tej pory nie znał. Kari, czując, że przyjaciel jest spięty, podniosła wzrok i patrząc mu prosto w oczy, które wydawały się jej teraz ogromne i niesamowicie błękitne, przemówiła do niego troskliwym głosem:

– Nie bój się, przecież ja nie gryzę.

– Wiem, ale nigdy nikt prócz Timiego się do mnie nie przytulał. W sensie... nigdy nie byłem tak blisko z żadną dziewczyną.

– Wiem, zawsze wszystkich trzymałeś na dystans, jedynie tego chłopca dopuściłeś do siebie, czemu?

– Nie wiem, jest w nim coś... Niezwykłego. Nawet nie potrafię tego nazwać. Jak go zobaczyłem w tym luku bagażowym, wiedziałem od razu, że coś nas łączy, ale co – tego nie wiem.

– Tak, pamiętam. Jako jedyny stanąłeś w jego obronie, ale wiesz, że nie masz tylko jego na tym świecie?

– Co niby przez to rozumiesz?

– No, że masz też innych przyjaciół. Mojego ojca, Anne no i mnie. Chciałabym być zawsze przy tobie.

– Wiesz... to raczej niemożliwe.

– Nieważne gdzie będziesz i kiedy skończy się nasze życie. Chcę, żebyś wiedział, że moje serce zawsze będzie przy tobie i przysięgam to na mój mały palec!

Kończąc zdanie tymi słowami, pokazała Brego swój palec. Potem pocałowała go delikatnie w policzek. Wstała i udała się do obozu. Chłopak zastanawiał się, jak to możliwe, że wzbudzał tyle zaufania w tej dziewczynie? Cieszył się, jego serce się radowało, dusza śpiewała chyba pierwszy raz w życiu. Czuł się szczęśliwy i potrzebny nie tylko bratu, ale także innym. Sen w końcu przyszedł, spokojny, odprężający, taki jakiego już od bardzo dawna nie miał.

Noc minęła spokojnie. Bez odgłosów dzikich zwierząt w pobliżu, dziwnych anomalii, kwaśnego deszczu i trzęsień ziemi. Kari, otwierając oczy o poranku, miała w planie czym prędzej zrobić śniadanie dla chłopców z produktów, które przywiozła. To dawało jej sposobność przemyślenia swoich słów z poprzedniego wieczora. Czy aby na pewno dobrze zrobiła, otwierając przysłowiowo „swoje serce” przed chłopakiem? Może przecież nie do końca zrozumieć jej intencję lub zrozumieć ją kompletnie inaczej, niż zakładała. Koło miejsca jej spoczynku leżał kunai podarowany jej przez ojca przed wyjazdem. W głębi duszy cieszyła się, że nie musiała go użyć. Nie wiedziała, czy przyjaciel faktycznie jest na czatach, czy może gdzieś wyruszył, wykorzystując okazję na pobycie choć przez chwilę w samotności. W obecnych warunkach nie było mowy o możliwości skorzystania z łaźienki, gdyż takowej tutaj nie było. Za potrzebą szło się po prostu za wielki głaz. A po skończeniu, nieczystości przysypywało się piaskiem, którego wokół było pełno. Chcieli w ten sposób choć trochę zniwelować nieprzyjemny zapach. O lustrze też mogła zapomnieć. Dobrze, że była chociaż miska z wodą z pobliskiego strumienia. Po wielokrotnym przefiltrowaniu nadawała się do mycia. Nagle dziewczyna odniosła wrażenie, że jest obserwowana i to nie w przyjacielski sposób. Przeszło jej przez głowę, czy aby na pewno chłopak jest na posterunku. Nie pokazując po sobie cienia podejrzeń, wstała powoli i zaczęła bez pośpiechu realizować naprędce nakreślony w głowie plan.

Po załatwieniu podstawowych potrzeb swojego organizmu zaczęła starannie rozcierać zieloną substancję w dłoniach. Był to wywar z larw mnieszniaka – małych robaczek, które można było spotkać na północny wschód od osady. Był to środek do dezynfekcji. Trudny do zrobienia w większych ilościach, bo larwy występowały tylko na danym terenie i było ich niewiele. Z tego względu to tak zwane „mydło z Tung” osiągnęło horrendalnie wysoką cenę.

Ci, których było na nie stać, rozcieńczyli jego niewielką ilość w wodzie. Wartość najlepszego, osiemdziesięcioprocentowego specyfiku wahała się w granicach dwóch albo trzech miesięcznych czynszów w dolnym poziomie mieszkalnym. Większość ludzi z osady Tung żyła w skrajnym ubóstwie, niewielu było stać na taki luksus. Najczęściej wybierało się te najbardziej rozcieńczone roztwory: dziesięcio – i piętnastoprocentowe. Dzięki dość dobrym kontaktom wuja Letoya i, przede wszystkim, dzięki Markowi Brownowi, który był zauroczony dziewczyną, Kari miała wszystko, czego potrzebowała. Jadała najprawdziwsze mięso drobiowe lub wołowe, a nie to ze szczurów. Miała również pod dostatkiem kosmetyków i benzyny do swojego motocykla. Skrzętnie wykorzystywała to, co los jej dał, ale nie tylko dla siebie. Często dzieliła się z bardziej potrzebującymi. W oczach mieszkańców uchodziła za dziewczynę z sercem ze złota.

Gdy myła twarz i ręce, za jej plecami rozległo się ciężkie dyszenie. Uczucie, że jest obserwowana, jeszcze bardziej się spotęgowało. Odwróciła się od miski, spojrzała w stronę, z której dochodziły odgłosy dyszenia, i w ułamku sekundy pobladła. Jakieś dziesięć metrów od ich obozowiska, tuż przy sporej wielkości głazie, stała przygarbiona postać z rękoma do samej ziemi. Sprawiała wrażenie, jakby się na nich podpierała.

– Rakghull!

Sama myśl o tych istotach przyprawiała ją o dreszcze, a widok tego stwora... sparaliżował ją. Niewielkiego wzrostu stworzenie o szarawym umaszczeniu, podpierając się na długich rękach, wpatrywało się w dziewczynę kilkunastoma oczyma znajdującym się na jajowatej głowie. Kari ostrożnie podeszła do miejsca, gdzie spał Timi. Cały czas obserwowwała dziwnego gościa, który ich odwiedził. Umysł podsuwał setki obrazów naraz. Jak ją atakuje rakghull, jak próbuje walczyć i jak przegrywa, a jej ciało zostaje rozszarpane i powoli zjadane przez napastnika.

Gdzie jest Brego?! Czy on tego nie widzi?! Na nurtujące ją pytania nie potrafiła w tym momencie znaleźć odpowiedzi.

Łapiąc za kunai, stanęła na wprost stwora i wyciągnęła broń w jego kierunku. Rakghull uniósł wysoko ręce. Teraz było można dostrzec, że dłonie ma zakończone trzema grubymi paluchami, a na końcu każdego z nich osadzony jest długi, czarny pazur. Wydał z siebie przeraźliwy pisk, który rozniósł się po całej dolinie. Powietrze zrobiło się ciężkie, a każda sekunda wydawała się wiecznością.

– Odejdź stąd! – wrzasnęła, ile tylko miała siły w płucach.

Stwór ani drgnął, jedynie przekręcił głowę na bok i bacznie obserwował swoimi kruczymi oczyma dziewczynę.

– Dobrze, sam tego chciałeś! Jeśli nie po dobroci, to przegonię cię siłą!

Poprawiła sobie w dłoni nóż i oceniła odległość od stwora. Wzięła zamach i gdy już broń miała opuścić jej rękę i polecieć w kierunku celu, silnym chwytem Brego powstrzymał dziewczynę, patrząc na nią gniewnym wzrokiem.

– Oszalałaś?! – krzyknął, ściskając mocno jej przedramię.

Tak mocno, że wyczuwał bez problemu przyspieszone tętno Kari. Dziewczyna pod wpływem adrenaliny nie przemyślała swojej decyzji.

– Jesteś za daleko, zanim kunai doleci do niego, będziesz już dawno leżała martwa! – Puścił jej rękę.

Kari automatycznie wypuściła broń z dłoni i nerwowo zaczęła pocierać bolące miejsce. Ze spuszczoną głową, wyszczała przez zęby do chłopaka:

– Gdzieś ty był w takim razie? Zostawiłeś mnie samą, więc co mogłam zrobić? Chciałam tylko obronić chłopca.

Brego z ponurą miną wpatrywał się w dziewczynę. Nie odrywając od niej wzroku, zwrócił się do Timiego leżącego metr od nich:

– Królewiczu, długo tak będziesz leżał? Przedstawienie skończone.

Timi, który jeszcze przed sekundą wyglądał tak, jak gdyby był pogrążony w głębokim śnie, zerwał się na równe nogi jak rażony piorunem i stanął tuż za plecami brata. Kari wręcz oniemiała, poczuła się oszukana i wystawiona na przynętę. Narastała w niej złość i w końcu dała jej upust:

– Czy wy postradaliście rozumy?! – Chłopcy patrzyli na nią ze zdziwieniem. – To mnie trzęsą się kolana! Nadstawiam karku, żeby cię, mały skunksie, bronić, a ty udajesz, że śpisz?! Co to ma znaczyć, do cholery?! Czy choć przez chwilę, w tych waszych pustych głowach naładowanych testosteronem, pomyśleliście o mnie?! O tym, że też mogę się bać, że was nie ma i jestem zdana tylko na siebie!?

– Wystarczy już, nic się przecież nie stało! – Dość szybko Brego ocknął się ze zdziwienia wywołanego zachowaniem Kari. Znowu posłał jej gniewne spojrzenie, które zmroziło jej krew w żyłach. – Wszystko było pod kontrolą.

– Jaką kontrolą, skoro ciebie nie było, mały spał albo udawał, że śpi?!

– Kiedy ty robiłaś więcej hałasu, niż wymagała tego sytuacja, ja zdążyłem obieć cały lej. Musiałem sprawdzić, czy nasz gość przybył sam, czy może z kumplami. W tym czasie ty wydzieriałaś się za mną, zdradzając, że jestem gdzieś w pobliżu. Timi za to udawał, że śpi po to, by gada nie prowokować do ataku, i bądź pewna, że gdybyś rzuciła tym cholerstwem w jego stronę, mocno byś nam wszystkim zaszkodziła. – Gdy dziewczyna usłyszała te słowa, cała poczerwieniała ze złości albo ze wstydu, sama tego nie wiedziała. Spuściła głowę i stanęła posłusznie za chłopcami, nie odrywając wzroku od ziemi.

– Chyba trochę przesadziłeś – szepnął Timothee w stronę brata, stając obok.

– Uwierz mi, w obecnej chwili Kari to moje najmniejsze zmartwienie, bardziej interesuje mnie, co ten gad tutaj robi. Przybył sam, ponadto po wyglądzie mogę wywnioskować, że jest doświadczonym w boju osobnikiem. Jego bliźny na ciele oznaczają, że stoczył niejedną walkę, więc albo ma do nas interes, albo został wygnany ze stada. Wędruje po planecie, szukając jedzenia, by nie paść z głodu. Może liczyć tutaj na łatwy posiłek?

– Co robimy? Wyprzedzimy jego uderzenie?

– Nie, coś mi mówi, że nie przyszedł tu, żeby walczyć. Muszą nim kierować jakieś inne motywy.

Rakghull stał cały czas w miejscu, bacznie przyglądając się całemu zdarzeniu. Od czasu do czasu wydawał z siebie odgłos mruczenia, czy czegoś w rodzaju skamlenia. W końcu stracił cierpliwość do słuchania kłótni, zrobił krok do przodu, oparł się na przednich łapach i zawył. Tak okropnie, tak przenikliwie i długo, że przyjaciele momentalnie umilkli i odruchowo zrobili krok w tył. Nawet Brego przeleciał zimny dreszcz po plecach. Nie był w stanie przewidzieć tego, co się za chwilę stanie. Po tym, jak stwór przykuł ich uwagę, podniósł swoją prawą łapę i szponem wskazał na starszego z braci. W pierwszej chwili chłopak nie wiedział, co to znaczy. Później prze-rażający osobnik dał mu sygnał głową, w isticie ludzkim gęście, by poszedł za nim.

Brego popatrzył pytająco na Timiego i Kari. Chłopak wzruszył tylko ramionami, bo też za bardzo nie rozumiał, o co poczwarze chodzi. Dziewczyna była bardziej sceptyczna, kiwając przecząco głową. Nie wiedział, czy robi dobrze, ale zdecydował, że z nim pójdzie. Rzucił jeszcze tylko jedno, ostatecznie spojrzenie na przyjaciółkę przed podróżą z dziwnym towarzyszem. Jednak ta go nie odwzajemniła, patrzyła w inną stronę, pokazując swoją ignorancję w stosunku do niego. Skinął głową bratu, by go utwierdzić w przekonaniu, że nad wszystkim panuje. Choć sam w to do końca nie wierzył. Zrobił krok do przodu i rakghull zrozumiał, że jest to sygnał do wyruszenia w drogę. Jednak, ku zdziwieniu starszego z braci, kazał mu zostawić jakąkolwiek broń.

– On jest bezczelny! – wykrzyknęła Kari. – Może jeszcze się rozbierzesz i przyprawisz, by nie tracił na to czasu. A jak cię zaatakują?! Brego, nie bądź głupi, nie zostawiaj miecza!

Chłopak cały czas obserwował i analizował sytuację. Jeśli wyruszy bez oręża, będzie bezbronny. Natomiast jeśli go weźmie, może sprowokować rakghulla do nieobliczalnego zachowania. Choć to już teraz było konkretnym odstępstwem od normy. Ostatecznie zdecydował zostawić miecz Timiemu. Przekazał mu ostatecznie wskazówki, pożegnał się z Kari i dał stworowi znak gotowości do drogi.

